





Galeria spotecznych  
z nich milosia

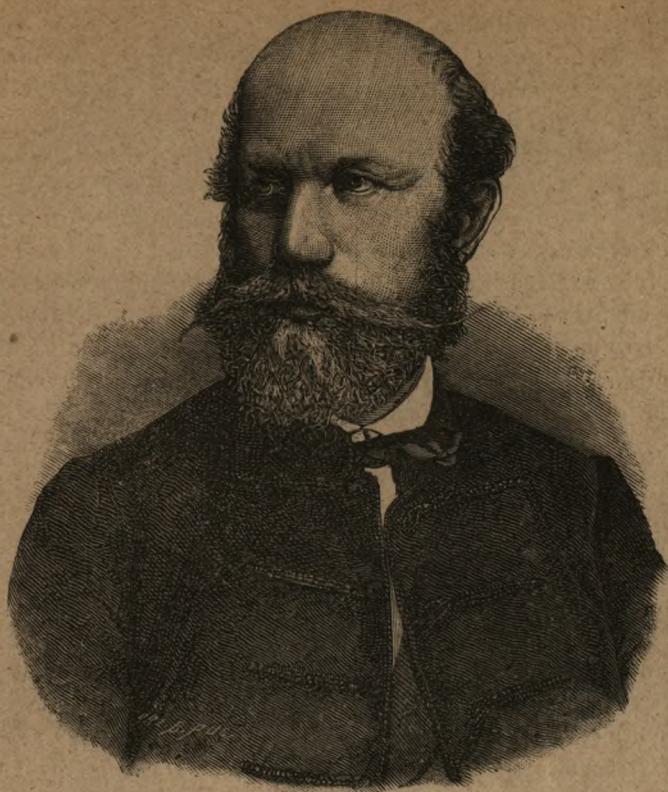
wszyst 7 i 8

Nakładem Redakcji

"Przeglądu Tygodniowego"

Warszawa 1884





## MAURYCY JOKAJ.

Narodowe piśmiennictwo madziarskie chlubi się znaczną liczbą wielkich pisarzy i z hojnością patryotyczną obdarza ich palmą nieśmiertelności; ale po za słupami granicznymi ognistej krainy Tokaju, niejedno ze słońc jaśniejących na niebie poezji węgierskiej, pojawia się w postaci komety, mniej lub więcej błyszczącej, która znika zazwyczaj równie prędko jak się ukazała, nie mogąc zwrócić ku sobie na długo oczu współczesników. Geniuszów oryginalnych i twórczych, w republice literatury wszechświatowej, wybitne zajmujących stanowisko znajduje się, stosunkowo mniejsza liczba, nawet u narodów oświeconych, na czele cywilizacji kroczącej. Fakt ten pojawia się tembardziej u madziarów, z powodu ich mowy, dla Europejczyków całkiem niezrozumiałej. Jednakże poetyczny i charakterystyczny jest ten język, harmonijnie bowiem

łączy dobro, dźwięk i piękno wyrażen z namiętnym i samodzielnym poglądem na rzeczy — i zarówno w potocznym jak w krasomówczym słowie, w prostej piosence, jak w uczonym śpiewie, potrafi porwać słuchaczy i do zapału ich pobudzić. Skoro zatem pisarz madziarski jest pilnie czytany i po za granicami kraju swego, gdy jego utwory tłómaczone na wszystkie języki żyjące, nawet w przekładzie silny wpływ wywierają i dzięki artystycznemu obrazowaniu najgłębszy interes budzą, — kiedy geniusz taki, prócz tego, że wiernie odzwierciedla właściwości i cechy znamienne swego narodu, na wyżynach ludzkości stoi, dzierżąc sztandar idei etycznych i poetycznych wieku XIX-go, to się z pewnością do wybranych zalicza. Do najświetniejszych przedstawicieli piśmiennictwa węgierskiego, nie tylko w Ciss, w Translitawii, ale i w literaturze wszech-

Galerya współczesnych znakomości.

21

13 640  
<http://rcin.org.pl>

Gabinet  
Filologiczny  
Im. G. Kerulana

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA

90-320 Warszawa, ul. Nowy Świat 78

światowej, należy przedewszystkiem para Dioskurów: Aleksander Petöfi oraz Maurycy Jokaj, pierwszy jako najznakomitszy liryk węgierski, drugi jako najcelniejszy romansopisarz.

Aleksander Petöfi, poeta genialny, którego pieśni zarówno w węgierskiej puszczy, jak w pałacu magnata bywają śpiewane, znanym jest także i u nas. Chociaż nie posiadamy jeszcze wzorowego przekładu jego poezyj, zachwyca nas wadliwe nawet tłómaczenie lub naśladowanie tych wspaniałych pieśni, odznaczających się świeżą naiwnością, osobliwym wdziękiem, bujną fantazyą i humorem samorodnym. W Europie istnieje już cała literatura, poświęcona Petöfiemu w kwiecie młodości, bo 26-ym roku życia zmarłemu. Maurycy Jokaj nie cieszy się taką popularnością. Chociaż romanse jego, w czasopismach i czytelnikach, od paru dziesiątków lat, cennym są przysmakiem dla publiczności—to szczególnie wielostronność i niezwykle talent tego wyjątkowo płodnego powieściopisarza, publicysty, polityka oraz mówcy ludowego i parlamentarnego, długo jeszcze nie będą oceniane według wartości swojej. Zadaniem naszym, jest właśnie zapelnienie tej luki.

\* \* \*

Maurus (Maurycy) Jokai (mów Jo-kaj), urodził się 19 lutego 1825 r. w Komornie, fortecy węgierskiej, wslawionej potem w r. 1849, obroną bohaterką generała Jerzego Klapki. Ojciec jego, który był adwokatem, mając wielki dar do poezji, zawczasu rozbudził w synu chęć do tworzenia. Studya gimnazyalne i uniwersyteckie kończył Maurus w ojczyźnie, jako to: w Papa, Preszburgu i Kecskemet; poczem poświęcił się nauce prawa, tak ulubionej w Węgrzech, gdzie adwokatura zapewnia nietylko różne urzędy i dostojęństwa, — dat Justinianus honores — ale też toruje drogę do odegrania roli politycznej. Z okazji uroczystego odsłonięcia tablicy pamiątkowej, umieszczonej przez ojców jego, w czerwcu r. 1880 na domu w Papa, gdzie mieszkał podczas studiów — napisał on, do prezydującego w komitecie tego obchodu, długi list, w którym zawiera się dużo oiekawych epizodów z młodzieńczych lat jego i w ogóle z początków karye-

ry literackiej. W owym czasie Maurus był zupełnym hipochondrykiem; w bezsenne noce zasyłał do nieba modlitwę o dziesięć lat niezakłóconego zdrowia, żeby mógł wydobyc na jaw ocean, co w duszy jego falował i huczał. I życzenie to spełniło się! W Papa napisał pierwszą nowelę, pełną grozy i fantastyczną, p. t. „Walka z Bogiem”. Była to praca konkursowa. Tamtejsze stowarzyszenie naukowe przeznaczyło nagrody pięć dukatów za poemat i dwa za nowelę. Dzień ogłoszenia wyroku należał do najuroczystszych w jego życiu. Pierwszą nagrodę, dwa dukaty, otrzymał poeta i późniejszy malarz historyczny, Orlay; jemu zaś przyznano drugą: dukata — i zachętę na przyszłość. Ten jeden dukat i napomnienie: „Naprzód!” wpłynęły na całą jego karierę. Jest to dowodem, że tak osławione nagrody konkursowe, mogą wywierać wpływ dobry, zbawienny. Jokaj powiada, że ułamek masy perłowej wielkości ziarenka prochu, włożony w muszlę perłową, może perłę spłodzić. Tak samo w nieroztwartych muszlach umysłu młodocianego, ułamek masy perłowej może rozbudzić geniusz twórczości. Do kolegów i współpracowników jego należeli pomiędzy innymi: Aleksander Petöfi (nazywał się on jeszcze wtedy — Petrowicz) i Kerkapolyi, który przed kilku laty był ministrem finansów w Węgrzech. Wszyscy oni zaliczali się do członków stowarzyszenia naukowego i prace ich beletrystyczne oraz estetyczne, najpierw bywały czytane w tem kolegium, podlegając bardzo surowej krytyce. Zmarły przed kilku laty podróżnik i biograf Jokaja, Kertbeny — powiada, że musiał on długo walczyć z potrzebami życia; ojciec odumarł go bowiem wcześniej, pozostawiając szczerze bardzo mienie. Z Papa przeniósł się Jokaj do Budapesztu, gdzie pracował w kancelaryi adwokata Molnara. W dzień pisywał repliki, a w nocy nowelę. Jak Petöfi, tak i Jokaj brał udział w rewolucyi węgierskiej 1848 — 1849 r. Na początku r. 1849 uciekł on wraz z rządem węgierskim do Debreczyna, gdzie się sejm na nowo zgromadził. Tam redagował, z ognistym patryotyzmem pisane: „Esti Lapok” (pismo wieczorne) dając dowody świetnych zdolności publicystycznych. Gdy Artur Görgey złożył broń 13 sierpnia

1849 r., z trudnością udało mu się umknąć. Opisuje on wzruszającą chwilę z owych smutnych czasów: było to pod Vilagos, dręczony głodem i pragnieniem, jakby szczywany zwierz, błakał się tu i owdzie. Za asygnaacye Kossutha, jakie miał przy sobie, nie chciało mu dać chleba; ale pomimo to, nie naruszył owego nagrodowego dukata i dotąd posiada tę relikwię. Podobnie jak Jerzy Herwegh, poeta nasz zawdzięcza ocalenie dziełnej żonie swojej, Róży, która pod nazwiskiem Róży Laborfalvi, należała do najznakomitszych węgierskich artystek dramatycznych. Ona to postarała się w czasie kapitulacyi Komorna, by imię Jokaja na liście oficerów Honwedów wpisane zostało; skutkiem czego otrzymał list żelazny. W jednym ze swych romansów: „Politikai divatok” (Metamorfozy polityczne) odmalował powyższy epizod życia swego w formie bardzo zajmującej, lubo fantastycznej. Jest przedstawiony tam jako adwokat Bela Lavay; żona jego jako artystka Judyta, Petöfi nazwany Pustafim, odgrywa także pewną rolę. W niedrukowanym dotąd rękopiśmie, p. t. „Negyven év viszhangja” (Echo lat 40-stu), opowiada Jokaj przygody życia swego, które przytoczę tu czytelnikowi: „Gdym był jeszcze małym chłopcem, lękałem się w szczególności żydów z długimi brodami; psów wściekłych i pogrzebani żywcem. Ta ostatnia obawa prześladowała mię tak dalece, że mając lat ośm, nosiłem ciągle na piersiach testament na kawaleczku papieru napisany, w którym prosiłem matkę, by w razie śmierci, sekoyę na mnie zrobiono. Najprędzej pogodziłem się z żydem, pogrzebani żywcem już się nie boję; ale psów lękam się dotąd i nigdy nie wychodzę na ulicę bez kija... Mając lat 18, napisałem w Keckskemet pierwszy dramat, p. t. „Żydek”. Skopiował go mój kolega Petöfi, gdyż jako utwór konkursowy, musiał być przepisany cudzą ręką. Komitet konkursu akademickiego przyznał mi odznaczenie, a nawet dwu sędziów do tegoż komitetu należących, poleciło pracę tę, jako najlepszą, do nagrody, w sumie stu dukatów. Jako dziewiętnastoletni młodzieniec, napisałem pierwszy romans p. t. „Hétköznepok” (Życie powszednie). Był to owoc wybujałej fantazyi, ale tu i owdzie znajdują się obrazy, na

jakie dziś nie mógłbym się już zdobyć. Wpływ Petöfiego ważnym był czynnikiem w początkach pisarskiej kariery mojej. Obaj byliśmy wielkimi odcicielami romantyki francuzkiej, zarówno jak Szekspira, Byrona i Sheley'a. W pierwszych dziełach moich widocznym jest też wpływ W. Hugo i E. Sue. Tylko w pracach humorystycznych przebija pewna samoistność. Ubiegałem się za nadzwyczajnością, za nowością. Ambicya gnała mię tam, gdzie jeszcze żaden pegaz nie pozostawił śladu swych nóg.

Całe powodzenie, jakiego doznaję, zawdzięczam żonie, którą poznałem, mając rok 23 ci. Nie mówię tu o romansie mego życia, którego była gwiazdą przewodnią; ale jaki wpływ wywarła na cały kierunek literackiej działalności mojej, dowodzą tego wszystkie moje prace. Od jej iskier rozpałał się w nich płomień. Uczucie jest tem dla poety, czem deszcz i promienie słoneczne dla ogrodnika, jedno i drugie zastąpić można sztuką i cieplarnią, ale blasku nie nadadzą one. Jeśli tak dużo pracować mogę, to dlatego, że mi dobrze w domu. Nadmienię i to jeszcze, iż w żonie mojej widzę najważniejszego krytyka: jej sąd jest dla mnie rocznią.

W ogóle szanuję krytyków. Dziękuję im, gdy się mną zajmują i uosę się od nich. Petöfi zawsze mię rozpieszczal, bo co tylko napisałem, wszystko mu się podobało. To psuje człowieka. Krytyka jest rzeczą gorzką, ale zbawienną. Wiele zawdzięczam Gyulay'owi; więcej jeszcze Kemeny'emu i Arany'emu, którzy niemiłosierną, choć prywatną krytyką, oddawali mi wielkie przysługi.

Nie mogę i tego przemilczeć, że pożyłskali życzliwość tłumaczy i nakładców zagranicznych, którzy starają się rozpowszechnić dzieła moje we wszystkich językach znanych na kuli ziemskiej. Dobry tłumacz i nakładca tem są dla autora, czem skrzydła dla ptaka. Z jednym tylko piórem nie można bujać po przestworach.

Muszę i o was wspomnieć na końcu, choć was nie kładę na ostatniem miejscu, o najdrożsi współpracownicy i pomocnicy moi, lube drzewa zielone, które sam sadziłem, o was, ziemscy towarzysze, co się pniecie ku niebu, wy wiecie, coście mi szeptały! Jakże często pod cieniem waszym szukałem

wypoczynku oraz idei—i jakeście mię zasłaniały od prześladowań świata całego! W obcowaniu z wolną naturą leży najwyższa i najgłębsza tajemnica mojej płodności literackiej.”

Jako redaktor wielkiego dziennika politycznego „Hon” (Ojczyzna) „Üstökös” (rodzaj węgierskich kartek ulotnych) „Fligende Blätter” „Igazmondo”, a teraz jako główny redaktor „Nemzet” (Naród); jako autor, delegat sejmu i mówca ludowy, rozwinął w ostatnich lat dziesiątkach zdumiewającą działalność. Jest on tak płodnym powieściopisarzem, że go można porównać chyba z Al. Dumasem ojcem. Napisał już przeszło 50 romansów (250 tomów), nowel zaś dawno już jest więcej niż 300. Co się tyczy dzieł lirycznych i dramatycznych, to ich tu nie będę rozbierał szczegółowo.

\* \* \*

Zanim przystąpię do głębszego zbadania doniosłości romansów Jokaja, zanim wydobędę na jaw jego zalety i wady, światła i cienie, by rozpoznać, jakie miejsce należy mu się na polu literatury powieściowej, niechaj mi wolno będzie dodać jeszcze kilka rysów do biografii oraz sposobu myślenia tego niezwykłego człowieka. Jak każdy madziar, kocha on nad wszystko na świecie: wolność i ojczyznę. Jako polityk—w charakterze delegata sejmowego i publicysty, zajmuje on bardzo wybitne stanowisko i od r. 1875, jest głównym redaktorem dziennika węgierskiego stronnictwa rządowego; jako zaś współczłonek parlamentu, jest najgorliwszym zapaśnikiem liberalnego rządu węgierskiego, na którego czele stoi wielki mąż stanu, Koloman Tisza. Z tego to powodu często bywa przedmiotem najgwałtowniejszych poisków ze strony skrajnej lewicy „Függetlenség párt” — i tylko iskrzący się jego dowcip, zamyka usta przeciwnikom. Dobitym tego dowodem jest list otwarty, jaki Jokaj napisał w czerwcu 1881 do ex-dyktatora węgierskiego, Ludwika Kossutha, w skutek gwałtownej napaści tegoż, ku niemu wymierzonej: „Kocham Kossutha; ale więcej jeszcze—ojczyznę; a ponieważ widzę, że Kossuth nie prowadzi ojczyzny na dobre tory, staję mu w poprzek na drodze, niepytając, czy nie będę czasem zdeptyany. Kossuth, zarówno jak świat cały,

może sobie przypomnieć, że zawsze miał ten zwyczaj. Tak samo postępowałem, mając przed sobą całą młodość i nie troszczyłem się o to, co się zemną stanie. Tak też robię i teraz, kiedy mam po za sobą długą wędrówkę życia i od przyszłości dla siebie na nic nie liczę, a dla ojczyzny wszystkiego się spodziewam. Kossuthowi wydawało się to dobrem, by Węgry, jeśli się z kim sprzymierzyć mają, bezwarunkowo połączyły się raczej z Serbią i Rumunią, aniżeli z austriackimi krajami dziedzicznymi, to jest: z Galicyą, Czechami, Austryą i Tyrolem. Co do mnie zaś, mam to przekonanie, że związek z krajami austriackimi korzystniejszy jest niż z księstwami z nad niższego Dunaju. W tej wierze żyjemy i w tej umrzemy; a wówczas dowiemy się, który z nas miał słusność. Tam, nie będziemy już członkami stronnictw, wielkimi ludźmi, ani paryami, lecz patryotami węgierskimi, ufam, iż i tam pozostaniemy”.

Niemcy za wielką zasługę poczytują Jokajowi, że wraz z „lewicą”, której głowę stanowi i która później złała się z partją Deaka, żeby obecnie wraz z nią, liberalne stronnictwo rządowe tworzyć, — pozostał wierny Niemcom, gdy wybuchła wojna niemiecko-francuzka. Według słów poety, „jakie wypowiedział wbrew Karolowi Braun - Wiesbaden, który go odszukał w sierpniu 1871 r. w jego Tusculum, na Szwabenbergu pod Pesztem, ugruntowanie Niemiec pociąga za sobą jako najwyraźniejsze następstwo dla Austrii i Węgier, jako zadanie życia: zbiorową siłę tego ostatniego narodu, rozwinąć. A wraz z tym krokiem, skończy się zwykła polityka austriacka, będzie się bowiem musiała na innej podstawie oprzeć. Wtedy dopiero nastąpią w Węgrzech wolne urządzenia i rząd prawdziwie konstytucyjny. Dlatego stronnictwo „lewicy” usiłuje przyjazną politykę z państwem niemieckim utrwalić i rzeczywiście, od owego czasu, Jokaj stale się trzymał programu tego.

Gdy kilka lat temu odwiedził on Niemcy i przy tej sposobności miał z ks. Bismarkiem ową sławną rozmowę, w której odegrał rolę historyczny ołówek czerwony, „sięgający aż po Tryest”, zadziwiał wszystkich, co go widzieli, tak wielką elastyczno-

ścią, pomimo lat 58-miu. Jest to mężczyzna dobrej tuszy, wzrostu średniego, rysy twarzy ma regularne, włosy ciemno blond, bardzo już co prawda, przerzedzone. Broda i faworyty wpadają w siwiznę. Gdyby się nie ukazywał czasem w stroju narodowym, niktby w nim nie odgadł mądziara, z dziadów i pradziadów. Pomiędzy ustami a nosem, ma rys znamionujący humorystyczne usposobienie. Wielkie błękitne oko zdradza w nim poetę, a czoło wyniosłe — myśliciela. W obejściu ma wiele prostoty i tak biegle i szybko mówi po niemiecku, jak rodowitym językiem. Może z dumą powiedzieć, że był twórcą własnego szczęścia. Płodne pióro zapewnia mu przyjemny dobrobyt; czego dowodem willa i winnica na Szwabenbergu. Pracowitość jego weszła w przysłowie w Węgrzech. Przytoczmy tu charakterystyczną anegdotę: pewnego dnia zjawia się Jokaj w redakcyi swego pisma „Hon” (obecnie „Nemzet”) i przynosi artykuł wstępny, dalszy ciąg romansu, drukującego się w fejetonie, notatę humorystyczną do satyrycznego organu „Üstökös” oraz testament. Nazajutrz miał stanąć do pojedynku z kolegą Fran. Pulszkym. Wszystkie te artykuły napisał w dniu, kiedy wysłał wyzwanie. Pojedynek, na szczęście, nie miał ważnych następstw i Jokaj tegoż samego dnia wystąpił z mową w Izbie poselskiej. Ma on własnego pomysłu metodę odpoczywania. „Gdy piszę romans — mówi — wypoczywam od polityki; skoro mię to zmęczy, biorę się do poezyj lub czegoś innego. Ztąd tak dużo rzeczy tworzę naraz; niekiedy naprzykład dwa romanse — jednocześnie. Jeślim bardzo znużony pisaniem, biorę do ręki dłuto, kawałek kości słoniowej i rzeźbię”. Rzeczywiście, autor nasz jest uzdolnionym rzeźbiarzem i z wielkiem zadowoleniem zwykł mówić do swej ukochanej, żony: „Widzisz, gdybym nawet nie był pisarzem, mógłbym cię utrzymać”. Na jednym z posiedzeń w klubie literatów i artystów, w Budapeszcie, 29 marca 1881 r., gdzie mu ofiarowano dożywotnią prezydenturę honorową, wyjaśnił tajemnicę swej pracowitości i płodności w tych słowach: „Każdy człowiek ma swoje myśli, ideje; każdy człowiek ma oczy i uszy, aby patrzył i słuchał, co się dzieje dokoła niego; ale większość zaniedbuje noto-

wać to, co widzi i słyszy. Bogaty Roitszyl podnosi feniga z ziemi, ale większa część pisarzy traci swe pomysły, nie notując ich. Ja ciągle noszę w kieszeni notatnik, w którym zapisuję każdy pomysł i fotografuję każdą osobistość niezwykłą. Cała biblioteka znajduje się tam. Każda z tych książeczek pełną jest materiałów do romansów i gdybym ich napisał jeszcze 50, nie zabrakłoby mi wątku. W utrwalaniu więc myśli i przygód tkwi wielka tajemnica płodnej pracy.”

\* \* \*

Zbytecznem byłoby przytaczać tu powody, dlaczego młodzieńcze prace i późniejsze słabsze utwory Jokaja pominę milczeniem, a tylko wybitniejsze wezmę pod lupę krytyki. Zresztą, nawet pobieżny rozbiór wszystkich romansów jego i nowel, o wiele przekroczyłby zakresłone z góry granice, od pierwszego bowiem większego romansu, jaki napisał, mając lat 19, p. t. „Życie powszednie”, ogólna ich liczba, jak wzmiankowałem powyżej, doszła do 250 tomów. Na dowód, jak dalece utwory te są rozpowszechnione pomiędzy narodem, wynoszącym najwyżej siedem milionów, przytoczę tu sprawozdanie samego Jokaja: „Przez ciąg lat 27-miu, od 1846 do 1873, liczba tomów oryginalnych prac, jakie oddawałem na usługi czytelnikom węgierskim, oraz pism peryodycznych, wynosiła do 652,100. Za te produkty literackie zapłaciła publiczność brutto 1,523,650 guld., z których przypadło mi w udziale czystego dochodu 246,000 guld.”<sup>1)</sup> Statystyczna ta notatka najdobitniej przemawia za nadzwyczajną płodnością autora. Do najświetniejszych zalet jego należą: niewyczerpana pomysłowość i niczem nietamowane, wraz z nią, bystrym potokiem płynące, obrazowanie. Najpiękniej uwydatnia się ta jego własność w romansach osnutych na dziejach Węgier lub Siedmiogrodu, jak np. „Rab Raby” z czasów cesarza Józefa II, „Nabab węgierski”, „Złote czasy w Siedmiogrodzie”, „Synowie człowieka o sercu kamieniem”. Przeszłość i terażniejszość, historia i obyczaje, zalety i cnoty, równie jak wady i występki narodu jego stanowią dlań boga-

<sup>1)</sup> Do roku 1883 podwoiły się te cyfry.

tą osnowę. Jokajowi nie zdarza się być nudnym; ciągle budzi zajęcie i kto weźmie do ręki romans jego, nie wypuści go, dopóki nie doczyta ostatniej strony. Jak A. Dumas (ojciec) tak i on postawił sobie za główny cel—bawić. Ztąd też wypływają różne niedostatki. Jako pierwszorzędnym romanso i bajko-pisarz, przedewszystkiem stara się on zajmować fantazję tego starego dzieciaka, co się zwie publicznością, używając do tego przeróżnych talizmanów; przytem, bynajmniej go to nie zawstydzają, że się nie zawsze godzi początek z końcem, że charaktery mieniają się jak kameleony, że logika i psychologia chromają niekiedy. Ognista jego wyobraźnia podobna jest do dzikiego źrebienia z „puszty” co żadnym hamulcem nie krępowane, siły swej świadome, hasa swobodnie po stepach; a drogi jakie wybiera, bywają nader dziwaczne i niespodziewane. Ztąd zaliczać go wypada do tych opowiadaczy, co jak Anglik Wilkie Collins, np. przedewszystkiem chcą wywołać zaciekawienie; z tą tylko różnicą, że w nim dążność ta nie uwydatnia się. Nieźle porównał Jokaj pismo (Blatt) węgierskie z dziecięciami bogów, któremu wieszczki szepcą bajki, bez początku i końca... musuje to, płynie, toczy się i wiruje, od pierwszego do ostatniego wyrazu, nieustając nawet na chwilę. Może niekiedy sam nie wie, jak wybrnie i dokąd dojdzie—ale ciągle idzie dalej; zawsze ma coś do powiedzenia, bo zawsze coś się w nim dzieje, zawsze ludzie działają, stosunki zmieniają się, wypadki wikłają się i wirują nieustannie, niewyczerpane, jako fale na morzu. On nie zatrzymuje się w biegu, jak inni opowiadacze, aby pobudki jakiegos czynu wyłożyć. Nie wdaje się w drobiazgowy rozbiór uczuć, ani w chromatyczną skalę psychologii, której potrzeba stu stron, żeby wyjaśniła jak się to stało, że bohaterka zrozumiała siebie samą, iż A. tylko szanuje, a B., którego nie szanuje, kochać musi. Jokaj niema czasu na to—niestety! wypada dodać. Pracując tak spieszenie, trudno mu uniknąć pobieżności; co się zaś tyczy artystycznego wykończenia, to się go prawie nigdy nie napotyka. O utworach jego, bardziej niż innych autorów, można powiedzieć: „Gdyby było mniej, byłoby więcej”.

Wprawdzie Jokaj niema w sobie materiału do rozwiązywania najwyższych zagadnień poezji, ale jest w wysokim stopniu zabawnym, zajmującym i przyjemnym gawędziarzem, wcieleniem Szecherezady. Ma on na zawołanie, w równej mierze, odcienia namiętności i humoru, powagi i żartu, surowej godności i naiwnego frantowstwa. Z powyższego jednak wynika, że kto nie żąda od romansopisarza samej tylko rozrywki oraz nauki, ale także treściwego kreślenia charakterów i psychologicznych badań, ten na próżno pukać będzie do Maurusa Jokaja. Na zakończenie przypomnę czytelnikowi, bynajmniej niepośledni, owszem—światny przymiot, który wszystkim romansom Jokaja szczerolny urok nadaje i stawia go w rzędzie najpierwszych opowiadaczy świata całego, mianowicie ów humor czarujący, co jak żywe źródło w każdym prawie dziele jego tryska, ową subtelną ironią, która nigdy nie przechodzi w gryzącą satyrę, a co więcej, nie obraża nawet tych klas społecznych, do których jest wymierzona.

Czytając romanse Jokaja, osnute na tle narodowym, wnikamy w głębinę kraju i ludzi, poznajemy starą i nową historję Węgier. Z realistyczną dosadnością występują tu postaci jego, a siła rysunku i ciepło kolorytu, zawsze wywierają wielki wpływ na czytelniku. Wspomniany już powyżej romans p. t. „Metamorfozy polityczne” przedstawia epizod z rewolucyi węgierskiej, obronę Komorna „twierdzy dziewiczej”, dokonaną przez gen. Jerzego Klapkę, przeciwko przemocy austriackich wojsk obłądnicych. W całość tę wpleciona jest historia miłosna pomiędzy Belą Lavay'em adwokatem, pisarzem i stronnikiem nowych idej demokratycznych owego czasu, a Judytą von Hargitay, której ojciec niechoce nie wiedzieć o rewolucyi i który widzi rozległe swe grunta w niebezpieczeństwie, gdyż republikanom udało się doprowadzić do skutku: „Abschaffung des Urbariums”. Miłość przezwycojeża wszystkie przeszkody, a Pustafi, w którym nietrudno poznać Petöfięgo, okazuje się tu nietylko wielkim poetą, ale i zręcznym swatem. Romans ten obfituje w postaci samorodne. Jest tam stary Hargitay, zazdrośny o popularność swoją, zuchwały względem potężniejszych od siebie, tyran dla pod-

władnych. Wszystko to zdradza każdy rys jego twarzy: od czupryny kędzierzawej nad wylisiałem czołem, do podbródka spoczywającego na podwójnej podkładce z tłuszczu i zdrowe, czerwone, twarde jak kamień policzki, zuchwale zakręcony wąs i usta wydęte i oczy dumnie spoglądające z pod gęstych, ciemnych brwi. Bardzo sympatycznym, szlachetnym zjawiskiem jest córka jego Judyta, która chociaż wydziedziczona za to przez ojca, dąży za wybraniem serca swego i wiernością oraz poświęceniem, świetlany ideał kobiety przedstawia. Pociągającą, chociaż osoblwią i dziwaczną wydaje nam się matka Lavay'a, która się pojawia w fortecy i oszczercę czi żołnierskiej syna jej, będącego w dalekich stronach, do rachunku chce powołać z bronią w rękę, żądając odeń zadosyćuczynienia. Chociaż pochylona już wiekiem, śmiało odzywa się do młodego i silnego mężczyzny, który syna jej zniesławił: „Nie odpowiadaj mi, że jestem kobietą i że niema zwyczaju bić się z kobietami, wszakże i suce wolno bronić swoich małych. Posługując się zwykłą bronią swoją — plotkami, rzekły się kobiety tej dumy, co stanowi wyższość mężczyzn nad niemi... Ja się już porachowałam z Bogiem; nie obiecuję sobie wiele od życia, bom wszystko utraciła. Mąż mój dawno umarł, dom obrócił się w perzynę, syn jest w dalekich krainach; pozostała więc tylko oześć, której sobie nie dam wydrzeć. Możesz mi przyłożyć pistolet do piersi — nie zadrzę. Ale — nie zabiję cię, bo niechcę obaroząć duszy śmiercią twoją, tylko do nóg celować będę i kaleką cię uczynię, żebyś nie mógł roznosić po kraju potwarzy o synu moim”. Takie matrony znajdowały się i pewno znajdują się jeszcze — w Węgrzech, gdzie patriotyzm i poczucie godności w mężczyźnie zarówno jak w kobiecie, są na takim stopniu rozwoju, jak w żadnym z narodów europejskich.

Podczas gdy w „Metamorfozach politycznych” zmienne koleje życia wojennego i walki o wolność — stanowią osnowę romansu, w innym napisanym w szóstym dziesiątku stulecia naszego, p. t. „Dobrzy, starzy Tablabiros” skreślił Jokaj w bardzo jaskrawych barwach, głód panujący w Węgrzech. „Tablabiros” — tabulae assessores,

nazywano w czasach przedmarcowych urzędników z sądownictwa i administracji, którzy zarówno jak właściciele ziemscy mogli pełnić prócz czynności publicznych, obowiązki honorowe. Naczelnny prokurator Fenery usabia w tym romansie żywioł rewolucyjny nowszych czasów, gdyż w skutek występku „des grossen Privilegienbruchs” jakiego się dopuszcza w dobrach pewnego arystokraty, usuwa on głód, straszliwie grasujący w kraju. Z początku udaje mu się tylko uniknąć kary hańbiącej i ulega konfiskacie majątku, ale później przewycięża zadawnione przesady i samolubnego ducha kast — staroświecczyzna upada, a z gruzów jej nowe życie wykwita.

Wyrodnym szlachcicem, który posiadłości swe marnuje i zdala od ojczyzny, głównie w Paryżu, prowadzi rozpustne życie, odgrywa bardzo szpetną rolę we wspomnianym już romansie, p. t. „Nabab węgierski”; odznacza on się również żywą akcją i wielkim bogactwem osób i scen. Bohater, nabab węgierski, jest typem arystokraty węgierskiej z dawnych, dobrych czasów. Bogaty, zamieszany w rozkoszach życia, marnotrawny, bezmyślny, miał jednak w sobie szlachetniejszą iskierkę, którą jeszcze można było wyzyskać. Żeniąc go z onotliwą mieszczańską, Jokaj wskazuje arystokraty drodze, na którą wstąpić musi, jeśli się chce z duchem czasu pojednać.

W innym romansie, który się ukazał w szóstym dziesiątku bieżącego stulecia, za tło opowiadania służy powódź, która tak często nawiedza kraj madziarów; powódź Peszteńska z marca 1838 r. tak straszna i pustosząca dzieła ręki ludzkiej, że ją można porównać tylko z Szegedyńską, co przypała kilka lat temu. Do głębi przenikają tam obrazy nędzy i rozpaczki ludzkiej, ale z drugiej strony czerpie się pociechę w szczytnych dowodach wyrzeczenia się siebie, poświęcenia i bohaterstwa. Z płomienną fantazją Wiktora Hugo i Waltera Scotta, kreśli autor smutny opis walki „optimatów” czyli najszlachetniejszych w całym kraju, z okropnym losem — a zarazem maluje w przerażających barwach postępowanie „jeunesse dorée”, która ogołocona z przywiązania do ojczyzny i z wszelkich ideałów, rozpustne życie wiedzie i nie jest zdolna

współczuć z nieszczęściem ogółu. W romansie tym opromieniona jest szlachetna postać arcyksięcia Stefana, który przyjął na siebie urząd palatyna węgierskiego. Przemowa jego do zapominającej o swych obowiązkach szlachty węgierskiej, brzmi jak: MeneTekel. Tu, występują owi zasłużeni arystokraci z trzeciego dziesiątku naszego stulecia, którzy jak hrabiowie Stefan Szehenyi i Mikołaj Weselenyi—chwalebniemi czyny i szlachetnym przykładem przyłożyli się do duchowego i materyalnego wzrostu ojczyzny swojej. Otoczenie najbogatszego magnata węgierskiego z owych czasów, stanowili hajducy, trefnisie, konie, metresy oraz psy do polowania, duchowych potrzeb nie znał i jedynem dążeniem jego było, wypić ozare rozkoszy aż do dna. Tym zmysłowym, chorującym na „Weltschmerz”, dla wyższych celów nieprzystępnym samolubom, podaje autor wierne zwierciadło, w którym widzą całą ohydę swoją i mogą otworzyć na to oczy, iż tylko miłość dla ojczyzny i narodu, uszczęśliwiać zdolna.

Przystąpię teraz do najwybitniejszych romansów Jokaja. Talent jego najlepiej uwydatnia się tam, gdzie się rzecz rozgrywa na ziemi węgierskiej, skoro ją tylko przenosi po za granice kraju, jak np. „Wolność pod śniegiem” to pomimo obrazów malowniczych, fantazyi śmiałej i ożywionej akcji, łatwo poznać, że autor znajduje się w obcym żywiole. Zaczniemy od „Rab Raby”. W mistrzowskim tem dziele, obfitującym w myśli głębokie i mającem wielką doniosłość cywilizacyjno-historyczną, autor ślicznie przedstawia stany z ósmego dziesiątka przeszłego wieku. Jest to pierwszorzędny romans, malujący obyczaje i cywilizację, widzimy, jak zepsuta szlachta i biurokracya przekupna ze srogą samowolą nad krajem i ludźmi panują. Chłop jęczy w ciężkiej niewoli; rzemiosła, przemysł, rolnictwo — leżą odłogiem; podatki, w postaci dziesięcin i daremszczyzny, żebraka czynią z włościa-nina. Pałająca nienawiść dla wszystkiego co nikczemne i złe, przemawia z każdej strony Jokaja i całą sympatyę naszą pochłania bohater romansu, szlachcic węgierski, Mateusz Raby, zwany Rab Raby, który, jako podkomorzy cesarza Józefa II-go przy dworze jego w Wiedniu, przebywa.

Odczuwają niedolę i nędzę narodu swego, postanawia wyzwolić biednych oraz uciśnionych i z podziwienia godną odwagą, staje do walki z tyranią i bezbożnością. Losy, jakie przechodzi ten męczennik miłości bliźniego, ten bohater - marzyciel, są tak porównawczo, z takim mistrzostwem odmalowane, że tylko z pod pióra poety z Bożej łaski, obrazy takie wyjść mogły. Wypada jednak żałować, że Rab Raby, bohater w cierpieniu—czynem nie umie się wznieść do heroizmu. Skreślenie charakterów jest znakomite. Sytuacje i sceny, tak tragiczne jak i humorystyczne, zarówno podniosłe, jak konieczne, odznaczają się osobliwym wdziękiem.

Do rodzaju romansów historycznych należy także pięciotomowy, p. t. „Kochany aż do rusztowania”. Rozgrywa się on za czasów Rokoczy'ego II-go — urodz. 1676, zmarł 1735. Bohaterem jest Władysław Otskay, słynny dowódzca wojsk, za Fran. Rakoczy'ego. Dokonawszy świetnych czynów wojennych, skończył życie na rusztowaniu, jako ofiara zdrady. W romansie tym charaktery są konsekwentnie przeprowadzone i wszystkie postaci, nawet podrzędne, z wielką miłością i prawdą narysowane. Szczególnie zachwycają nas wizerunki kobiece, w których Jokaj jest niezrównany. Obie postaci niewieście: Ilona Tisza i hrabina Osmonda Szunyoghy, z których pierwsza była jego aniołem, druga zaś złym duchem, wykonane są znakomicie. Nawet grająca na skrzypcach cyganka Cynka Panna, która dowódcę Otskaya, jak druga Dalila—usidla, jest sportretowana z zadziwiającą subtelnnością.

W jednym z ostatnich romansów swoich, p. t. „Ci, którzy dwa razy umierają”, autor i genialny pegaz jego porzucając świat rzeczywisty, pędzą w sfery w bajkach opiewane. Bajeczność i fantastyczność górują tu nad rzeczywistością; co jednak autorowi nie przeszkadza sceny rozgrywane na tle faktów, traktować z realizmem, przypominającym niekiedy Emila Zolę. Jokaj wprowadza nas w świat cyrkowy i maluje go ze szczególną dokładnością,—od dziwnie pięknej woltżerki Atalanty, aż do Augusta... wszystko jest arcydziełem.

Przytoczymy tu jeszcze najlepsze z romansów Jokaja. W księgarni Ottona Janke, który się wielce zasługuje rozpowszechnianiem go w Niemczech, a po części i w całej Europie ukazały się wszystkie, nawet i w taniem, ludowem wydawnictwie. Oto ich tytuły: „Biedni bogacze”, „Synowie człowieka o sercu kamiennem”, „Ci, co tylko raz kochają”, „Ładna Michalina”, „Złote czasy w Siedmiogrodzie”, „Dyamenty czarne”, „Złoty człowiek”, „Romans przyszłego stulecia”, „Komedycanci życia”, „Zamek bogów”, „Gracz, który wygrywa”. Wypada jeszcze nadmienić, że większa część utworów Jokaja została przetłómaczoną na wszystkie języki żyjące i że jakkolwiek niemieckie przekłady Hugona Klein, Adolfa Dux, Maxa Nordau oraz innych, są udatne, jednakże dają nam słabe

wyobrażenie o wdzięku języka, którym Maurus Jokaj włada z takim mistrzostwem, że w całych Węgrzech nikt mu nie wyrównywa. Upodobanie Jokaja w obranym zawodzie pozwala się spodziewać, że niejednym jeszcze wysokiej wartości darem muzy swojej, podzieli się z publicznością. Mając wyjątkowy talent, pomysłowość, doświadczenie i wiedzę, może on się na doskonałe jeszcze romanse zdobywać niż dotychczas, jeśli nie zechce rozpraszać sił swoich—i tuzinkową produkcją zaspakajać głód czytelników. Wszakże godłem jego jest „excelsior”—powinien więc dążyć ciągle naprzód i z artystycznym wykończeniem, z natężeniem władz umysłowych, bezustanku tworzyć — a wtedy przyszłe jeszcze pokolenia śpiewać i opowiadać o nim będą.



## JULIUSZ FERRY.

1832—1884.

„Nowe sytuacje wymagają ludzi nowych”, odrzekł pan Dufaure panu Juliuszowi Grévy, gdy mu tenże proponował, na początku r. 1879, pozostanie na czele ministerium.

Słowa te wywołały liczne komentarze, do których przymieszano nieco ironii, poznawszy owych „ludzi nowych”, przez prezydenta republiki, do spraw państwa powołanych. Można tak nazwać p. Freycinet, mówiono, ale p. Juliusz Ferry, cóż to za nowy człowiek! Piękne rzeczy dzieć się będą, za tego adwokata, w oświacie publicznej! Istniał w opinii uprzedzonej Juliusz Ferry legendowy, niemający żadnego podobień-

stwa z rzeczywistym; innego nie chciano widzieć. Trzeba przyznać, że mało kto był tak szkalowany, mało komu tak szkodliwy rozmaite organa, wpływające na sądy publiczności, mało ludzi było tak źle widzianych, przed pozyskaniem popularności; ale też, czempredziej dodać należy, jestto bowiem pierwszym i charakterystycznym rysem tej fizjonomii—że się mało ludzi mniej o to troszczyło.

Siła p. Juliusza Ferry składa się z dwóch żywiołów: z cierpliwości niezwalczonej i z głębokiej wiary w siebie. Nie dla tego był on obojętny na niesprawiedliwość opi-

ni, że ją lekcewał, ale że znał źródło jej pomyłek, mianowicie nienawiść stronnictw, pochodzącą w połowie z zawziętości, w połowie z obawy. Wyczekiwał wszystkiego od czasu, czując, że jest dosyć zręcznym, aby wypadki wyzyskiwać i dosyć mocnym, aby ludźmi władać.

Dzień jego nadszedł nakoniec, ale on się nie starał niczem go przyspieszyć—przeciwnie. W r. 1878 p. Dufaure ofiarował tękę p. Juliuszowi Ferry, który jej nie przyjął, mając na względzie powyżej przytoczony frazes tego męża stanu, tylko w odwrotnem znaczeniu: „dla ludzi nowych, potrzeba nowych sytuacji.” Dymisya marszałka Mac-Mahona, w skutek wyborów senatorskich z r. 1879, wybór p. Juliusza Grévy przez kongres dokonany, stworzył tę nową sytuację. Sposobność, jakiej p. Juliusz Ferry oczekiwał, nasunęła mu się i umiał z niej skorzystać.

Przyjął ministerium oświaty publicznej, czemu dziwili się nawet sprzyjający mu ludzie. Prędzejby mógł być ministrem spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, mówili choćby i handlu, — gdyż w owej epoce p. Juliusz Ferry wielki brał udział w kwestjach dotyczących ciała, — ale oświaty! Zaczekajcie, aż się weźmie do dzieła, odpowiadali inni, co oceniając go lepiej, wazyli słowa tego adwokata małowódnego, odgadywali myśl wytrwałą i daleko sięgającą, po za tą fizyonomią zagadkową i uważali jego zachowanie się taktowne, oraz wolę rozważną, która cechuje najważniejsze akta jego życia publicznego.

Jakim się okazał w ożynie, to rzecz wiadoma.

Nic niezgodniejszego ożestokroć z rzeczywistością, jak pojęcia nasze o rzeczach i ludziach. Dużo osób wyobraża sobie p. Juliusza Ferry, w życiu prywatnem, tak mylnie, jak błędną jest też o nim opinia niechętnych, jako o człowieku publicznym. Nie jest on ani tym gadulą niezmordowanym, ani „bourgeois napuszonym”, ani też dumnym dorobkiewiczem, jakim go nieprzyjaciele malują: krótko mówiąc, to jedna z najwybitniejszych i z pewnością jedna z najmniej znanych postaci tegoczesnych. Tylu wrogów i co gorszą przyjaciół fałszywych, starało się go zaćmić i w fałszywym świetle przed-

stawić, że usprawiedliwia to błąd ogółu. Czas już jednak ukazać w całej prawdzie jednego z dobrych, z wiernych sług demokracji i Francyi. Spróbujmy dzieła tego dokonać.

Ażeby ludzi widzieć takimi, jacy są, trzeba się im przyglądać wśród rodziny, przy ognisku domowem, kiedy odpoczywają po trudach i przedstawiają się tak, jak ich natura stworzyła.

Przyjrzyjmy się więc p. Juliuszowi Ferry, w jesieni, naprzykład podczas wakacyj, w jego domku położonym na górze, o kilometr od Saint Dié. Budynek ten jest otwarty ze wszystkich stron; do ogrodu wchodzi się, prawie niespostrzeżenie, ścieżkami, co go otaczają; od drogi leśnej, nad którą stoi, oddzielają go tylko sztachety z furtką. Jeśli kto chce wejść drzwiami, a raczej główną bramą, służący miejscowy otwiera i wprowadza gościa do ogrodu, pod werendę, tak bowiem nieco pretensjonalnie nazywany jest tarasik, urządzone przed mieszkaniem. Sam dom niczem nie przypomina tych wspaniałych willi, jakie się widuje wszędzie po trosze. Jestto mały, maleńki nawet pawilonik, mogący pomieścić rodzinę, z czterech lub pięciu osób złożoną.

Powab tej siedziby stanowią otaczające ją Wożezy. Z ogrodu jest widok cudowny i rozległy, w kierunku południowym, ginie w dali łańcuch gór z odnogami i pagórki ciemnym lasem pokryte, doliny wąskie i wierzchołki piętrzące się w nieładzie jeden nad drugim. We mgle, co się unosi nad niemi i w końcu je zatapia, światło falujące oblewa to nagie stoki wzgórze, to cypel, to chaty rozsiane po wyżynach i na polankach; ku północy, poza równinami, gdzie się stoczyła bitwa de la Bourgonne, r. 1870, widnokrąg otaczają ostatnie pasma, ginące na łąkach Meurthe'y przy Raon-l'Étape; nareszcie, u stóp wzgórze, na którym zbudowana jest willa, o kilka kroków od pustelni gdzie Erockmann, współpracownik Chatriana, mieszkał tak długo, rozłożone jest miasteczko Saint Dié, w wąskim przesmyku, pomiędzy dwiema górami, jedliną poroślemi. Co się w żaden sposób nie da opisać, to niezliczone szczegóły tego krajobrazu, mnogie zmiany kształtów i barw, widoki urozmaicone, — począwszy od ożywienia miejskie

go, aż do dziwnej ciszy lasów, różnorodne odgłosy: od jednostajnego sapania maszyn fabrycznych, do potężnego szumu powietrza, wpadającego w doliny. Trudniej jeszcze oddać słowami przeistoczenia bez liku, jakim ogół tych rzeczy podlega, wskutek gry światła, które z nich czyni, to miłą dla oka dekoracyę opery komicznej, to panoramę wspaniałą, to znów w niepogodę, gdy niebo jest burzliwe, przedstawia wstrząsający obraz gniewnych porywów przyrody.

Nietylko malownicze położenie wabi p. J. Ferry do tego domku, podczas wakacyj, ale głównie bliskie sąsiedztwo z miastem Saint-Dié, jako miejscem jego urodzenia i wyborów departamentalnych. Rodzina jego także tam mieszka. Gdy przechodzi przez ulice, kłaniają mu się jako przyjacielowi i współpowietnikowi. Co krok zatrzymywają się musi; koledzy szkolni zarzucają go pytaniami, wiodą z nim spory, mówiąc mu „ty”, jak za dawnych czasów.

Niema człowieka przystępniejszego, uprzejmiejszego i umiejącego słuchoać ludzi w sposób bardziej zachęcający. Pan Juliusz Ferry nie jest zimny, lecz spokojny i zawsze uważny. Nie kładzie do kieszeni wręczonych mu not, jak tyłu innych, z widocznym zamiarem, że do nich nie zajrzy; on je czyta i to tylko obiecuje, co dotrzymać może. Jestto rzecz wiadoma w departamencie; dla tego nikt się doń nie udaje bez należytego rozmysłu. Co wogojczycy lubią w swym ziomku, to poufałość wcale nie banalną, równe usposobienie, niedopuszczające niejako namiętności, niezachwianą uwagę, którą stosuje do wszystkiego i do wszystkich, wielkie umiarkowanie w sądach, wstręt instynktowny do ruchu bezcelowego, do niepotrzebnej wrzawy, do wszystkiego, co tohnie miotaniem się bezowocnem i nakoniec, pewna dzielność umysłu. Przez te przymioty, wogojczycy siebie w nim poznają.

Jeśli kładę nacisk na tem, co chętnie nazwałbym stroną prowincjonalną charakteru p. J. Ferry, to dlatego, że najmniej jest on znany w Paryżu, gdzie fabrykują — niekiedy z ręcznie, nadając im nazwiska znane, — osoby sztuczne, wcale nie podobne do ludzi, których mają pretensyę przedstawiać.

P. J. Ferry wrócił w swe strony rodzinne po wojnie, pod wrażeniem strasznych wy-

padków, w jakich brał także wielki udział. Wypadki te, rzecz można, zamknęły pierwszą część jego egzystencyi. Pozostawał jeszcze pod ich wpływem, ale przez właściwą mu elastyczność umysłu, wkrótce, ważną naukę z nich wyciągnął. Straszna komuna oświeciła go do reszty. Znalazłszy się wobec sytuacji niezwyklej i w historii jedynej, rozumiejąc zadanie, przypadające niejako stronnictwu jego, (republikańskiemu) rzuconemu poniekąd pośród zgłiszcza, z misją odbudowania wszystkiego, p. J. Ferry musiał wniknąć w siebie, zastanowić się nad programem, jaki popierał w opozycyi przeciw cesarstwu, wraz z kolegami swymi z lewicy. Umiał rozważyć, czy program ten da się zastosować i w jaki sposób; czy go nie należy poddać sumiennemu zbadaniu, rozbirowi nieulegającemu żadnym względom, metodzie ścisłej i usunąć zeń żywioły obce lub szkodliwe.

Ażeby cel ten osiągnąć, wypadło mu porzucić koło, w jakim żył dotąd; przekroczyć granice myśłą przynajmniej, zwykłych za dań stronnictwa, wznieść się do idei mniej idealnych, ale ogólniejszych, szukać w rzeczywistości — i to najskromniejszej, punktów stycznych, któreby pozwoliły wprowadzić w czyn zasady teoretyczne. Innemi słowy, do owej chwili walczone dla republiki, teraz trzeba było pracować dla Francyi. P. J. Ferry jest jednym z tych, którzy najlepiej potrzebę tę zrozumieli i najgruntowniej przygotowali się do tej nowej pracy, spostrzeganiem i rozważaniem wytrwałem.

Wymogi życia publicznego, zmuszającego, by się stawiał na zebrania wyborcze swych współziomków wogojczyków, wyszły mu na dobre. Musiał usunąć się od gorączkowej polityki paryzkiej, którą bezwątpienia trzeba znać koniecznie, ale nie jedynie i po okresie gwałtownego odczuwania życia Paryża, przyszła dlań chwila przyglądania się życiu Francyi.

W republice demokratycznej, pod rządem zrodzonym z ducha ludności miejskiej, wynikłym z walk zażartych, jakie miasta staczać musiały z interesami i przesądami świata przedrewolucyjnego, które i dotąd jeszcze istnieją, głęboko zakorzeniwszy się w obyczajach narodu, — szkołą mężów sta-

nu republikańskich—to prowincya, miasteczko, osada, wioska.

W tej-to szkole p. J. Ferry urabiał się od lat dziesięciu interesując się wszystkimi potrzebami, obyczajami, zwyczajami, uciśkiem, przez władze administracyjne wywieranym, nadziejami, z jak największem uwzględnieniem słusznych żądań, które powtarzając się ciągle, dają obraz potrzeb ogółu, również jak i namiętności jednostek. Badając na miejscu, na radach generalnych, w rozmowach z ludźmi miejscowymi, ruch kół machiny rządowej, której przedtem znał głównie teorię, autor praw o nauczaniu elementarnem przygotował się do roli, którą, powołany do wzięcia udziału w rządach Francyi, odegrał tak świetnie. Ludzie mają manię przypisywać obce pochodzenie mężom politycznym we Francyi. P. J. Ferry nie uniknął tego losu, znalazły się osoby, co upatrzyły w nazwisku jego wygląd włoski; z kąd łatwo już było przejść do wniosku, że w żyłach p. J. Ferry płynie krew włoska. Ale w jednym tyle jest prawdy, co i w drugim. Ferry, to skrócenie imienia: „Frédéric”, używane w chłopskim narzeczu wogezkiem, tak ciekawem, dosadnem, oryginalnem i śmiałem, jakich mało. Co się zaś tycze rodziny Ferry, to zamieszkuje ona Saint-Dié od czasów niepamiętnych. Kilku Ferry'ch z tejże gałęzi, co Juliusz, znajdowało się pomiędzy urzędnikami miejskimi w ciągu w. XVIII. Dziad jego pełnił obowiązki mera za rewolucyi i za cesarstwa.

Ojciec p. Juliusza Ferry był adwokatem; wczesnie straciwszy żonę, pozostał z dwoma synami: Juliuszem i Karolem. Miał on wątle zdrowie, ponieważ więc stan majątkowy pozwalał mu nato, poświęcił się wyłącznie edukacyi synów. Skoro nauki w Saint-Dié wydały mu się już niedostateczne, zawiózł dzieci do liceum Strasburskiego. P. J. Ferry zachował głęboko w pamięci te przesiedliny do wielkiego miasta alzackiego. On nietylko tak kocha Alzacyę, jak jest obowiązkiem każdego francuza, z pewną goryczą bolesną, z myślą o jej upokorzeniu niezasłużonem; lecz ma dla niej uczucie tkliszsze, prawie synowskie. Tyle serdecznych węzłów łączy go z tą prowincją: wspomnienia lat dziecięcych, pierwsze sukcesy w życiu, stosunki z przyjaciółmi, co mu pozostali

wierni, nakoniec skojarzenie się z rodziną Risler-Kestner, jedną z najbardziej znanych i szanowanych. Pan J. Ferry uczył się prawa w Paryżu. Gdy ojciec jego umarł r. 1856, miał lat dwadzieścia cztery (ur. się 5 kwietnia 1832 r.) Ojciec ten wychował synów na takich, jak on sam republikańców: odważnych, stanowczych, gotowych do walki. P. J. Ferry wprędce porzucił advokaturę, aby się oddać polityce. Skromny majątek zapewnił mu niezależność, nie wahał się więc: walki i niebezpieczeństwa miały dlań urok nieprzeparty i pograżył się w nich z dzielnym umysłem i mężnym sercem.

Wkrótce, pewna liczba ludzi zasłużonych zaczęła się gromadzić dokoła niego. Roku 1857 pp. Ernest Picard, Karol Floquet, Clamagaran, Hérold, Herisson, Philis, Emil Ollivier zbierali się w jego domu. Toczyły się tam rozprawy nad środkami opozycyi; ale wówczas było ich niewiele; wszystko się ograniczało na rozmowach, na kilku pismach w których krytykę rządu i jego działalność ukrywano pod maską literatury. Cesarstwo było jeszcze potęgą, w całym znaczeniu tego wyrazu. Powoli jednak naprężenie zaczęło ustępować: pojawiło się kilka dzienników i p. J. Ferry odrazu znalazł w nich zajęcie.

Został on współpracownikiem *Pressy* Emila de Girardin i *Courrier de Paris* Klemensa Duvernois. Philis, Emil Ollivier, Klemens Duvernois, których nazwiska spotykało się wtedy w opozycyi, mieli przejść niezadługo do innego obozu! Pan J. Ferry napisał podczas wyborów z r. 1863 rozgłosny *Manuel électoral*, któremu zawdzięcza to, iż został wmieszany do procesu Trzynastu. Inna broszura wydana po wyborach, p. t. *Lutte électorale*, niemniej narobiła hałasu. Zawierała ona przykre objaśnienia, co do działań kandydatury urzędowej. Jeden z ministrów cesarstwa, p. Forcade la Roquette, oddał jej należną sprawiedliwość, zaskarżając przed trybunałem ciała prawodawczego, jako manifest partyi republikańskiej.

Najżywsze wspomnienie zostawił po sobie p. J. Ferry na polu dziennikarskiem, jako współpracownik *Temps'a*. Szereg artykułów jego o administracyi prefektury Sekwany, Haussmanna, narobił wrzawy i przeszedł w legendę, p. t. *Comptes fantastiques d'Hausmann*.

W r. 1869, p. J. Ferry został wybrany deputowanym w VI okręgu paryskim. W Izbie deputowanych, za cesarstwa, prowadził podwójną wojnę: z kandydaturą urzędową i z administracją prefekta Sekwany, Hausmanna. Szczególnie śmiały w swych napaściach, musiał walczyć z większością słuźalozą i ze złą wolą prezydującego; ale przeszkody te podzegały go i w krótkim czasie odznaczył się, jako jeden z najgroźniejszych przeciwników Emila Ollivier. Pomiedzy deputowanym VI okręgu i prezydującym radzie, wszczęły się kilka razy niezmiernie żywe spory, w których szlachetna rola przypadała nie p. Emilowi Ollivier. Szorstkość w granicach przyzwoitości i niemiłosierna ironia p. Ferry, odniosły wkrótce zwycięstwo nad sztuczną sentymentalnością i niezręczną pogardą człowieka „z sercem zmienem”.

Nastąpiła wojna. P. Juliusz Ferry wziął czynny udział w opozycji, stawianej, przez małą grupę lewicy, zbrodniczo niedorzecznemu rządowi, który miał doprowadzić Francuzów do Sedanu. Po tej katastrofie, gdy dzień 4 września zwrócił Francją jej samej, p. J. Ferry, jako deputowany Paryża, znalazł się w rządzie obrony narodowej. Z początku spełniał tam obowiązki sekretarza; dopiero po dniu 31 października został merem Paryża, w miejscu p. Arago.

Ludzie mają zwyczaj odróżniać odwagę wojenną od cywilnej; tymczasem określenia te nie są ścisłe, gdyż należałoby raczej upatrywać różnicę między odwagą fizyczną i siłą moralną, która pozwala zwalczać przesady, lub poświęcać swoje interesa i popularność — obowiązkowi. Odwaga jest odwagą, jakąbądź suknię się nosi, objawia się tylko pod różnemi postaciami, stosownie do okoliczności i temperamentów. Odwaga jest jedną z wybitnych cech p. J. Ferry; odnajduje się ją we wszystkich jego krokach, wyciskając na nich piętno dzielnej inicjatywy, energii niekiedy napastniczej, postanowień rychkich, które uderzają i zadziwiają uważnych spostrzegaczy w ogóle i zapewniają czynom jego rychkie powodzenie.

D. 31 paźdz. rząd Obrony stał się więzieniem rozruchu, w ratuszu. P. J. Ferry zdołał umknąć. Zebrawszy wieczorem kilka batalio-

nów gwardyi narodowej, kazał otoczyć ratusz. Po ukończeniu przygotowań wojennych, zapukał do bramy Ś go Jana, jak opowiada jeden z jego biografów. Głos z wnętrza spytał: „Kto jesteś? — Juliusz Ferry, członek rządu Obrony narodowej. W imieniu prawa, żądam, byś otworzył”. Zamiast odpowiedzi, dano dwa wystrzały z okien antresoli. Nie cofając się ani na krok, wydał rozkaz wywalenia bramy. W chwili kiedy się już wstrząsnęła, pp. Delécluze i Dorian przyszli prosić, by ze względu na bezpieczeństwo uwięzionych członków rządu, zaprzestał szturmować”.

P. Juliusz Ferry dał dowód niemiejszej odwagi w okoliczności, jeszcze może krytyczniejszej, bo dnia 18 marca. Wbrew opinii niektórych członków rządu, opartej na przekonaniu, a u innych wypływającej z obawy, chciał on zwalczyć rozruch w samym Paryżu. Nie tracił nadziei, że go opanuje przy pomocy batalionów gwardyi honorowej, posłusznych prawu. Gdyby go usłuchano, możeby nie było okropności komuny!

P. J. Ferry stawiał przynajmniej opór do końca. Będąc merem Paryża, jak kapitan płonącego okrętu, póty nie opuścił stanowiska, póki się nie przekonał wraz ze swem otoczeniem, że już niema środka ratunku, a nawet i wtenczas, postanowił wyjść ostatni z ratusza. D. 18 marca, od szóstej wieczorem do dziesiątej, wysłał on depezę za depezą do prefekta policyi, do generała Vinoy, gubernatora Paryża, do generała Le Fló, ministra wojny, do p. Ernesta Picard, ministra spraw wewnętrznych i nawet do samego p. Thiersa, zaznaczając postępy ruchu powstańczego i proponując środki obrony. W depeżach jego przebija się trwoga; czuć w nich oburzenie, gniew, rozpacz człowieka, mającego serce, patrioty, dobrego francuza. Generał Vinoy, o szóstej godzinie wydał rozkaz wyprowadzenia wojska z koszar napoleońskich i z ratusza. O 7 minut 16 p. J. Ferry wysłał depezę, żądając, aby rząd potwierdził ten rozkaz. „Ratusz nie będzie miał ani jednego obrońcy, telegrafuje on, czy byłoby zamiarem, wydać go powstańcom, kiedy, zaopatrzone w ludzi i w żywność, może się bronić niewiedząc jak długo”

O 7 minut 40 telegrafuje: „Ponawiam pytanie, co do rozkazu ewakuacyi. Czy mamy

wydać kasy i archiwa? Jeśli bowiem rozkaz wyprowadzenia siły zbrojnej zostanie wykonany, to ratusz ulegnie rabunkowi. Żądam rozkazu stanowczego." Inny telegram o 8 min. 25. „Ewakuacja prefektury policyjnej jest niedorzecznością" woła—o 9 min. 15, przychodzi urzędowy rozkaz od generała Vinoy, żeby ratusz ewakuować. P. Ferry opierając się jeszcze, zwraca się do ministra spraw wewnętrznych: „czy możesz mi pan przysłać siłę zbrojną? Proszę o niezwłoczną odpowiedź." Nic nie odbiera. Czy odpowiedź! Trzeba się poddać konieczności. Wtedy to wyprawia ostatnią depezę, którą zaliczyć może do najszlachetniejszych kart życia swego.

#### Mer Paryża.

Ratusz, 18 marca, 9 godz. min. 55.

Ratusz opróżniony przez wojsko. Cała służba rozejdzie się natychmiast, ja wychodzę ostatni.

Powstańcy zrobili barykadę za ratuszem i jednocześnie przybywają na plac, dając wystrzaly.

#### J. Ferry.

Nawet w chwili opuszczania ratusza, p. J. Ferry nie wyrzekł się wszelkiej nadziei. Udał się, z bratem swym Karolem, do merostwa okręgu 1-go, gdzie zastał p. Méline. Merostwo zostawało pod strażą małego oddziału gwardyi narodowej.

„Przed chwilą opuściłem ratusz" rzekł p. J. Ferry do p. Méline: „sądzę, że jeszcze nie został zajęty; każ pan więc rozbudzić oficerów i zbierzmy natychmiast ich ludzi, a może zdołamy wyprzedzić powstańców.

Zawiadomieni oficerowie nie chcieli wziąć żadnego udziału: wkrótce doszła też wieść o zajęciu ratusza. P. J. Ferry napisał wówczas do innych merów Paryża, żądając, by się niezwłocznie zgromadzili. Około północy stawili się wszyscy, lecz przekonawszy się po krótkiej naradzie, że są bezsilni, wyszli; za nimi dążył p. Juliusz Ferry, na szczęście w pewnym oddaleniu. Załedwie bowiem zrobili kilka kroków, otoczyła ich chmura gwardzistów, którzy przez ostrożność podejmowali numerą od kepi.

„Czego chcecie?" zapytał p. Méline tych, co poznał, jako należących do jego okręgu.

„Dowiedzieć się kto jesteście" odrzekli.

Panowie Tolain, Milliére, Bonvalet, An-

drzej Murat, przystąpili, wymieniając swe nazwiska.

„Nie was szukamy, ale Juliusza Ferry, odpowiedzieli żołnierze. Mówiono nam, że jest z wami."

— Szukajcie.

Napróżno szukali; podczas tej rozmowy bowiem, p. Juliusz Ferry, wróciwszy do merostwa, zdołał umknąć przez dziedziniec prezbiterium Saint-Germain-l'Auxerrois. Było w pół do pierwszej w nocy. Nagle rozległ się wystrzał. Merowie Paryża nie wątpili, że ten odważny człowiek, który wyczerpał wszystkie środki obrony, poświęcił swoje i patriotyzm—życiem przypłacił. Na szczęście, pomylili się. Nazajutrz p. J. Ferry udał się do rządu, będącego w Wersalu. Wiadoma-to rzecz, że rząd pochodziła nienawiść pewnego stronnictwa w narodzie francuzkim przeciwko niemu.

P. Arago podał się do dymisji, jako mer Paryża, w najcięższej chwili oblężenia po 11 października, w pierwszych dniach listopada. Ferry nie cofnął się wtedy przed obowiązkiem czuwania nad zaopatrywaniem Paryża w żywność, pomimo strasznej ztąd odpowiedzialności. Wziął się do dzieła z rzadką wytrwałością i energią, jak każdy dobry francuz, w owej epoce, poświęcił on życie ojczyźnie; nie wahał się też i popularność swoją złożyć jej w ofierze. On-to pierwszy, na pełnym Zgromadzeniu merów i adjunktów, osmielił się przedłożyć wniosek za rozdawaniem porcy. Powstała wrzawa, wywołał bowiem prawdziwe widmo oblężenia, widmo głodu. Niepokój i przestraszanie opanowały umysły; przedtem nie pomyślano, nie chciało myśleć o dniu, kiedy zbraknie żywności.

— Do jakiego czasu będziesz nam pan mógł dostarczać chleba? — zapytał ktoś z przerażeniem.

— Wiem, co do dnia — odrzekł p. J. Ferry; ale mi pan w pierwszej utniesz język, zanim powiem; jesto tajemnicą Obrony, której, prócz rządu, nikt nie powinien wiedzieć.

Śmieszne-to i nie do uwierzenia, iż nie wybaczone temu dzielnemu człowiekowi siły i przeczności, jakie rozwinął, aby móż przedłużyć obronę.

Z powodu tej nienawiści, p. J. Ferry byłby uległ w ów dzień losowi generalów Kle-

mensa Thomas i Lecomte, gdyby jakim opowiedział powyżej, nie to, że zdołał uciec przez drzwi, prowadzące z merowstwa Louvru do kościoła Saint-Germain-l'Auxerrois.

Od tej epoki, życie publiczne p. J. Ferry związane jest z każdym wielkim wypadkiem politycznym tych ostatnich lat jedenaście. Mianowany prefektem Sekwany, po komunie sprawiał swe obowiązki tylko dni dziesięć; a skoro go zastąpił p. Leon Say, został wysłany do Aten, jako minister francuzki. W Grecyi pozostawał rok cały: od 15 maja 1872 r. do 24 maja 1873.

Skoro tylko doszła wiadomość o upadku p. Thiersa, podał się natychmiast do dymisji (był on wtedy na urlopie). W zgromadzeniu narodowym odznaczał się jako jeden z ludzi wpływowych lewicy i brał czynny udział w walkach partji republikańskiej przeciwko reakcyi. Gdy większość przypadkowa udarowała Francję konstytucyjną nastąpiły nowe wybory. W miejscu głosowania okręgowego, zarządzane zostało głosowanie z listy. P. Juliusz Ferry przedstawił się, jako kandydat w okręgu Saint-Dié, gdzie znaczną większość otrzymał. W Izbie nowoutworzonej, wpływ jego był jeszcze wybitniejszy. Został uznany za przywódcę grupy z lewicy. D. 16 maja, a raczej podczas walnych rozpraw, jakie nastąpiły po 16 maja, niejako w imieniu lewicy, p. Ferry miał silną mowę, oskarżającą postępowanie rządu, ludzi będących na straży porządku moralnego, prześladowania nikczemne i skryte, jakim podlegali słabi, wojnę z pospólstwem, z klasą ubogich.

Mowa ta wywarła wielkie wrażenie we Francyi i niemało się potem przyczyniła do podniesienia kraju z upadku.

Ponownie wybrany r. 1877, p. J. Ferry został wskazany do zarządu spraw wewnętrznych, nie chciał jednak przyjąć teki, ofiarowanej mu przez p. Dufaure'a. Dopiero r. 1879, gdy p. Juliusz Grévy został prezydentem republiki, wszedł on do gabinetu Waddingtona, jako minister oświaty publicznej.

Pierwszym aktem władzy dowiódł p. Ferry wielkiej zręczności politycznej. Ponieważ rząd sprzeciwiał się stawieniu przed sądem ministrów z 16 maja, mógł znaleźć poparcie tylko w większości chwiejnej. Zaraz nazajutrz po tem wątpliwem zwycięstwie, przed-

łożył wniosek praw, imię jego noszących Skutek artykułu 7 był natychmiastowy; gabinet odzyskał przewagę.

Od tej chwili—życie p. Ferry historyka rzeczą opisywać, nie biografa. Walki, jakie staczał głównie w senacie o swój artykuł 7, o wszystkie swe prawa, zaliczać się będą do najświetniejszych, we francuzkich rocznikach parlamentarnych. Jako obrońca ducha postępu przeciw rutynie i ciemności, p. Ferry niezmiernie wojował, przez lat trzy z różnego rodzaju przeciwnikami; jednakże hypokryzja liberalnych, zarówno mu zaszkodzić nie zdołała, jak namiętność klerykałów. Zdrowym rozsądkiem, wolą wytrwałą, prawością i odwagą, pokonywał wszelkie zawady. Wnioski jego praw, jeden po drugim, były uchwalane; nawet artykuł 7 wypłynął na wierzch i odniósł tryumf w postaci dekretów z 29 marca. Po dymisji p. de Freycinet, Ferry stanął na czele gabinetu.

Niepodobna tu przypomnieć nawet w streszczeniu, wypadków, jakie się wydarzyły za jego prezydentury w radzie; ale dwa z pomiędzy nich pozostawiają głęboki ślad w historii: wykonanie dekretów i wyprawa do Tunisu, pierwsze, jako następstwo niepolitycznego odrzucenia artykułu 7 prawa o nuczaniu, przez senat, który poszedł za głosem fałszywego natchnienia; druga, jako punkt wyjścia nowej polityki francuzkiej, zagranicznej. Ażeby zrozumieć doniosłość pierwszego i sprawiedliwie ocenić poprowadzenie drugiej, trzeba przeczytać dwie mowy, które p. Juliusz Ferry wygłosił w miesiącu listopadzie, r. 1881. Nigdy jeszcze mówca i polityk nie doznał tak jednozgodnego uznania. W owej chwili był on rzeczywiście w dymisji. Usuwał się przed p. Gambettą, którego nieprzewartna siła popularności, aż na wyżyny rządu francuzkiego wyniosła; ale można powiedzieć, że owe mowy znakomite, zapewniały mu powrót do władzy, wtenczas właśnie, kiedy ją opuszczał.

Wart on słów, w jakich go określił sam Gambetta: „Ferry jest jednym z tych rzadkich ludzi, których uszlachetnia sprawowanie rządów.” Po upadku gabinetu Gambetty, p. de Freycinet, powołany do utworzenia nowego ministeryum, zwrócił się naturalnie do p. Juliusza Ferry; który pragnął

skończyć swe dzieło reformatorskie, objął napowrót tekę oświaty publicznej.

Styl, to człowiek; powiedział Buffon. Frazes ten nie do samych tylko pisarzy się odnosi, ale i do mówców. Styl, to forma frazesów, powiązanie idei, ogólny układ myśli i piętno osobiste, jakie ludzie utalentowani wyciskają zarówno na tem co mówią, jak co piszą. Posłuchajcie p. Ferry, jak mówi, studujcie go, a wprędce poznacie w nim człowieka, którego odmalowałem. Sztuki używa on tylko, jako środka do uwydatnienia tezy swojej; głównie mu chodzi o cel, jaki sobie postawił. Nie należy do liczby tych, co doznawszy porażki na polu polityki, pocieszają się sukcesem oratorskim. Słowo powinno stwarzać przekonanie — oto jego zasada i jego metoda. Nie stara się oddziaływać za pomocą efektów, przechodząc z tonu potocznego do wzniosłego; tem mniej ludzi mrzonkami umysły słuchaczy, nie wiedzie ich też kwiecistemi ścieżkami, aż do zasadzek. Zawsze się wie, dokąd chce zaprowadzić swych słuchaczy i doprowadza ich do swego celu, trzymając się drogi logiki, czyli wykazując im siłą dedukcyi, że zdrowy rozsądek, sprawiedliwość i konieczność, narzuca ideję lub reformę, której on broni. P. J. Ferry odznacza się dobrą wiarą i umysłem praktycznym, nie pogardza abstrakcyami, pojęciami idealnemi, całym tym taborem filozofii, przez niektórych przenoszonym ze szkoły do polityki, ale z umysłu je zaniedbuje, w jego oczach, najpiękniejszy argument mniej wart od faktu, a rozumowania jego zawsze oparte na rzeczywistości, mają potęgę, a nawet i wagę faktów. Przekonania jego są zbyt głębokie, aby się nigdy nie unosił namiętnością: stronność, sofizmaty, ironia tchnąca nieżywołnością i płoną, wznecają w nim oburzenie, wojownicza jego natura ujawnia się wtedy; ton jego mowy staje się cierpki; odpiera otrzymane razy, napastuje z podniesioną przyłbicą, tyle tylko zachowując umiarkowania i wstrzeмиęźliwości, żeby parlamentarnym pozostać. Doznawany opór podżega go, bunt wywołany jego repliką, rozplomienia; ale jak generał okazujący najwięcej zimnej krwi, w naj-

gorętszej utarczce — kipiąc z gniewu, drżąc z oburzenia, pozostaje panem siebie, swego słowa i natężywszy wolę, może powrócić do zwykłego tonu mowy. Odpowiedział na zaczepki: ani zgiełk zewnętrzny, ani wzruszony umysł nie nadwerężyły szyku jego mowy; idzie dalej, zmusza słuchaczy, by szli za nim i wygrywa sprawę, wymową rozsądku.

Powiadają, że p. J. Ferry nie jest trybunem; był nim jednak r. 1870, gdy przemawiał do deputacyj zbrojnych, do tych hord beładnych, co się schodziły z obozu Saint-Maur, albo przybiegały ze swych przedmieść, aby rządowi Obrony narodowej przedstawiać kwestye zbrodnicze, lub szalone. Był nim również i to — zdumiewającym, r. 1881, w Nancy, kiedy w ogrodzie de la Pépinière, przemawiał do dzieci ze szkół elementarnych, tego starego miasta lotaryńskiego. Wtedy słowa jego nie były zimne, ani rozjątrzone, wlał w nie ogień przekonania swoich i krew z serca płynącą. Tym razem przynajmniej, odkładając do wieczora politykę ciasną chwili obecnej, mógł się przerzucić na pole polityki wielkiej, ludzkiej i narodowej, do polityki dobra publicznego; mógł wypowiedzieć wszystkie nadzieje, przywiązywane do nowych pokoleń, zrodzonych za republiki i wychowanych w miłości i czci jej zasad, mógł o nich mówić ze słuszną dumą człowieka, który uczynił więcej, niż ktokolwiekbądź dla takich rezultatów. Głęboko wzruszony, znajdował on słowo płomienne, poetyczne obrazy i udzielające się ciepło. P. J. Ferry nie same tylko poglądy polityczne ukrywa pod fizyonomią zadumaną i zachowaniem się poważnem; dlatego, nie często wprawdzie, ale czasami, w pewnych kołach, np. w otoczeniu tej młodzieży, którą chce uczynić godną oczekujących ją zadań, — wyjawia głąb myśli, a nawet i serca. Wtedy zapomina się o meżu stanu, tak stanowczym i zimnym, zapomina się również o człowieku prywatnym, o tym wzorowym gentlemanie, widząc w nim tylko tego Juliusza Ferry, jakim jest przedewszystkiem, czyli demokratą i patriotą.



## Eliza Orzeszkowa.

Że prawdziwy talent jest jak zdrowe ziarno, dobrze zaaklimatyzowanej rośliny, nie potrzebującej do plonowania żadnych sztucznych podniet, ani cieplarnianych urządzeń, najlepszy dowód mamy na Elizie Orzeszkowej.

Urodzona pod strzechą zamożnego szlacheckiego dworu, wychowana na pensyi u Sakramentek, a żyjąca następnie w świecie aksamitów, koronek i miękkich mebli—Orzeszkowa, nietylko była pozbawiona jakiegokolwiek bądź podniety do pracy i czynu, lecz przeciwnie, wszystko zdawało się składać na to, aby nasiona talentu, jakie przyroda złożyła w jej duszy, pozostały na zawsze w uśpieniu.

Ale ta sama natura co wilka ciągnie do lasu, pociągnęła też i Orzeszkową do książek.

Otrzymawszy w spuściźnie po ojcu Benedykcie Pawłowskim, bogaty księgozbiór, młodzianka pani Eliza z chciwością wielką poczęła eksploatować te skarby ducha, jakie się w nim zawierały.

Rzecz prosta, iż o systematycznym czytelnictwie mowy nawet być nie mogło—samopomoc była tu kompletną—ojciec bowiem Orzeszkowej człowiek rozumny i wykształcony, zbyt wcześnie ją odumarał. Z tych zaś co pozostali przy życiu, autorka wspomina tylko o krewnym swoim p. Żuku, którego wskazówkami i radami posługiwała się czasem.

Nie więc dziwnego, iż przy takich warunkach, zdobywanie wiedzy nie było sprawą łatwą i że choć niepospolity umysł Orzeszkowej bogacił się z dniem każdym nowemi

światła promieniami, nie prędko jednak zaczął innym przyświecać.

Trybem pospolicie przez autorów praktykowanym, naprzód sił swoich na literackiem polu zaczęła próbować Orzeszkowa jako poetka. Prac tych jednak nie publikowała, spostrzegłszy snad odrazu, iż zadowolnić one mogą jedynie chwalców z urzędu lub najbliższych znajomych.

Czy oceniła siebie słusznie? Sądzimy, że tak. Z paru bowiem próbek poetyckich, jakie następnie ogłosiła drukiem (Kalendarz wileński r. 1882) widać jasno, iż zdolności wierszowania nie posiada zupełnie. W miarę jednak jak umysł jej dojrzewał i rozszerzały się horyzonty myśli, pragnienie służenia sprawie literatury rosło także—w tej niepospolitej duszy.

Rok 1863 był dla talentu Orzeszkowej epokowym. Dwa naraz utwory jej pióra ujrzały światło dzienne — jeden pomieściła „Gazeta Polska,” drugi „Tygodnik Ilustrowany.” Pierwszy był artykułem dziennikarskim ex re pracy Boukl'a, który powszechną naówczas zwracał uwagę—drugi utworem beletrystycznym, zatytułowanym: „Złat głodowych.” Z dwóch tych drobnych objawów myśli, można już było zauważyć, iż umysłu który je stworzył nie krępują sentymentalne lub konwenansowe powijaki, a serca kastowe uprzedzenia.

A chociaż nie zwróciły one na autorkę uwagi szerszego ogółu, chociaż przeszły niepostrzeżenie prawie, zrobiły jednak swoje: spotęgowały bowiem w duszy Orzeszkowej te pragnienia, które ją z czasem tak wysoko wynieść miały.

Po upływie lat paru, sypie już ona jak z rogu obfitości mniej lub więcej udatne, zawsze jednak jaśniejszych myśli i śmielszych tendencyj niepozbawione prace.

„Ostatnia miłość” (Gazeta Polska 1866 r.) „Rozstajne drogi,” „W łańcuch” (Tygodnik Ilustrowany), „Na prowincyi” (Tygodnik Mód 1867 r.). Są to już wszystko dzieła większych rozmiarów, zdradzające gorąco kowość niemal autorki, z jaką się oddaje ukochanemu przez się zawodowi, pomimo iż krytyka wcale nie oszczędza młodej pracownicy pióra.

Jedni o pracach Orzeszkowej milczą, drudzy maltretując je niemilosiernie, dochodzą

aż do stawienia horoskopów na przyszłość z których wypada wróżba:

„Cicho wszędzie, głucho wszędzie,  
Nic nie było, nic nie będzie.”

Wróżba ta jednak równo prawie z jej ogłoszeniem upada. W „Tygodniku Romansów i Powieści” zjawia się nowa powieść Orzeszkowej „Pan Graba.”

Najzawziętsi nawet antagoniści talentu autorki przyczynają swe zbyt ostre pióra, a krytyk, który stawiał wzmiankowany wyżej horoskop, zapytany przez jednego ze znajomych: — oóż Orzeszkowa? — „Wycięła mi... sztukę” — odpowiada ze szczerem zadowoleniem.

Jeżeli w „Panu Grabie” złożyła już autorka aż nazbyt wymowny dowód, iż z talentem jej powieściopisarskim liczyć się należy, to jednak „sztukę” w całym słowa tego znaczeniu „wycięła” antagonistom swoim jedną z następnych prac dopiero.

„Marta” Orzeszkowej jest bez zaprzeczenia koroną literackiej jej działalności. W powieści tej niewiadomo co więcej podziwiać, czy stronę zewnętrzną wysoce artystyczną, czy głębokość myśli, czy niepospolity dar obserwacyjny i realizm jako jego konsekwencyę, czy też miłość dla podjętej idei.

Temat niewyszukany, powszedni zaledwie, historia kobiety wychowanej tak jak się u nas ogół kobiet jeszcze i dzisiaj wychowuje. Bohaterka potrafi i zagrać i rozmówić się po francuzku, potrafi i to i owo, ale niczego nie umie gruntownie, niczego nie nauczone ją tak, żeby w danym wypadku samodzielną pracą egzystować mogła. To też gdy mąż umiera, „Marta” zostaje odrazu w położeniu bez wyjścia, pomimo, iż na swej drodze spotyka ludzi litościwych i pośpieszyć jej z pomocą gotowych.

Najlepsze jednak chęci wszystkich rozbijają się o nieudolność indywidualną protegowanej, która do walki z życiem całkiem nie jest przygotowana.

Na tem ponurem tle, haftuje Orzeszkowa masę obrazów technących dziwną prostotą i niepospolitą prawdą—obrazów, które najbardziej nawet optymistycznie urobione indywidualia zmuszają do myślenia.

Jeden z krytyków wyraził się o „Martoie,” iż całą tę powieść należałoby wydrukować złotymi głoskami. Zdaniem naszym nie prze-

sadził. Gdyby bowiem podobna praca pojawiła się w którejkolwiek literaturze popularniejszej niż nasza, stworzyłaby ona niewątpliwie erę. Jakkolwiek bowiem Orzeszkowa we wszystkich prawie swoich jak wcześniejszych, tak późniejszych dziełach jest mistrzynią nie tylko jędrnego słowa, lecz i śmiałej myśli, jakkolwiek każda jej praca (nie wyjmując nawet drobnych utworów) jest na wskróś tendencyjną, a mimo to wysoce artystyczną, żadna jednak nie może się równać z „Martą.”

W niej bowiem stanęła autorka na nie-doścignionej prawie dla pisarzy tendencyjnych wysokości. Nic tu bowiem myśli przewodniej nie zawadza i nic zarazem artystycznej strony utworu nie psuje.

Czytając „Martę,” choć się tendencye autorki *czuje* na każdym kroku, nigdzie się jednak ich *nie widzi*, gdyż w pracy tej nie spotykamy ani postaci niezwykłych, ani dla reprezentowania jedynie pewnych, z góry obmyślanych idei, na arenę akcji powieściowej wyprowadzonych.

Nic też dziwnego, że „Marta” doczekała się kilku wydań w krótkim stosunkowo czasie i co ważniejsza, zrobiła przewrót w ogólnych poglądach naszych na sprawę wychowania kobiety; od chwili jej pojawienia się najuparciej nawet walczący z emancypacją niewieścią i najgorliwsi stróże kobiecości w kobiecie, zmodyfikowali znacznie swe sądy na tę sprawę. Niedosyć na tem, wiele kobiet nie czekając krytycznej chwili, wzięło się do nauki i pracy, gdyż los „Marty” przeraził głęboko te wszystkie, które w podobnych co bohaterka Orzeszkowej mogły się także znaleźć okolicznościach.

Teraz już ogół nasz zaczął nie tylko z wielkiem zaciekawieniem czytywać powieści Orzeszkowej, lecz i z wielką niecierpliwością nowych jej prac wyglądać. Dla nikogo bowiem nie było tajemnicą, że autorka nie uprawia „sztuki dla sztuki” i nie ogranicza się na kopiowaniu pewnych jasnych lub ciemnych stron życia.

Każde nowe jej dzieło przynosiło z sobą nową kwestyę społeczną, czy to będącą na czasie jak emancypacja kobiet („Marta”), kwestya żydowska („Meir Ezofowicz”), socjalizm i kosmopolityzm („Widma”—„Bańki mydlane”), czy też zapomnianą lub lekce-

ważoną, pomimo swej dla ogółu doniosłości jak: sprawa wychowania, przesądów kastowych, spalonej etyki, i t. p. („Pan Graba,” „Pompalińscy,” „Sylwek omentarnik” i w. i.).

To też powieściopisarska działalność Orzeszkowej jest niespożyta w całym tego słowa znaczeniu. Prace jej pomimo, iż najczęściej powstawały dzięki prądom nurtującym społeczeństwo w danej chwili, pomimo iż głównym ich celem była walka z prądami temi, nie zestarzeją się jednak, ani zbledną zbyt prędko. Gdy się bowiem, w postępie cywilizacyjnym społeczeństwa, przeżyją nawet pod względem myśli, od zupełnego zapomnienia, ocali je forma i prawda psychiczna, jaką tchną wszystkie prawie postacie Orzeszkowej.

Tego co o powieściach, nie da się powiedzieć o filozoficzno-społecznych traktatach, jakie wyszły z pod pióra znakomitej autorki.

Pomimo niepospolitej erudycyi, jaką się Orzeszkowa odznacza, pomimo, iż posiada umysł jasny i krytyczny, prace jej poważne takie jak: „Patryotyzm i kosmopolityzm,” „Kilka słów o kobietach,” „O żydach,” ustępują o wiele utworom powieściowym.

Z prac tych bowiem przegląda bardzo jasno, iż umysłowi, który je stworzył, nie towarzyszyło nigdy systematyczne kształcenie się. Ztąd pewna chaotyczność obok jasności pojedynczych zdań, pewna niekonsekwencya pomimo głębokości oraz trzeźwości oddzielnych poglądów.

Dla pełności obrazu zaznaczyć jeszcze wypada jeden niezmiernie charakterystyczny rys talentu Orzeszkowej, mianowicie: autorka nie posiada zupełnie—dowcipu.

O ile z łatwością wyciska łzy z oczu nie zbyt nawet nerwowych indywiduów, o tyle trudno jej jest pobudzić kogokolwiek bądź do uśmiechu choćby.

Czy weźmiemy „Pana Grabę,” gdzie Orzeszkowa, siłąc się na opis „wesołego towarzystwa,” obraca aż do znudzenia frazesem: „jesteś cztery litery”—czy „Pompalińskich,” wstęp do których pragnie utrzymać w tonie lekko-ironicznym, czy wreszcie obrazek dramatyczny „Pokociło się” i „Dam nogę.” Wszędzie autorka jako humorystka szwankuje, popadając bądź w trywialność, bądź też w niesmaczną przesadę.

Czy niedobór ten w talencie Orzeszkowej mamy uważać za wadę obniżającą wartość jej utworów? Bynajmniej. Zaznaczamy go jedynie, jak powiedzieliśmy wyżej, dla pełności charakterystyki, nadmienając jednocześnie, iż o tej właściwości swego talentu musi najlepiej wiedzieć sama Orzeszkowa, równie dobrze jak o swej nieudolności wierszopisarskiej, bardzo rzadko bowiem pozwala sobie prace swoje atycką zaprawiać solą.

Kończąc na tem ocenę publicznej działalności Orzeszkowej, dodać nam jeszcze wypada nieco szczegółów z jej prywatnego życia, które, już choćby dla tego, że się odnoszą do tak zasłużonej własnemu społeczeństwu autorki, nie będą zapewne pozbawione interesu dla szerszego ogółu.

1841 Otóż Orzeszkowa jest obconie w sile wieku, liczy bowiem dopiero lat 40 (urodziła się w r. 1843, w majątku swoich rodziców Milkowszczyźnie, w gub. Grodzieńskiej), a chociaż od natury niezbyt hojnie w przymioty ciała, takie jak siła i zdrowie <sup>wada</sup> uposażoną została, trzyma się jednak, mimo wielu moralnych i fizycznych cierpień, jakie przeszła, wcale dobrze.

Krucze jej niegdyś włosy, przyprusza obecnie dosyć jeszcze oględnie siwizna, a czarne, pełne, dziwnie wymowne oczy, żywym świecą blaskiem.

Ujmująca w obejściu, nadzwyczaj łatwa w obcowaniu, posiada talent szczerego jednania sobie serc tych wszystkich, którzy ją mają możność poznać bliżej. Żyje jednak w kompletnem prawie odosobnieniu, z wyjątkiem kilku najbliższych osób, odcienionych niemal swych gości, mało kogo przyjmuje.

Fantazyj autorskich niema żadnych. Może równie dobrze pisać w dzień jak wieczorem, równie dobrze przy wygodnym biurku, jak na kołyszącym się filgranowym stolicku.

Z wyjątkiem gładkiego papieru (format ówiartkowy jest formatem uprzywilejowanym) i dobrego pióra, niczego więcej do roboty nie potrzebuje, ani absolutnej ciszy, ani specjalnego światła, ani tym podobnych warunków, bez których wielu z piszących obejść się nie może.

Pomimo wątłego zdrowia pracuje dużo, gdyż od 8-miu do 10 ciu godzin dziennie,

z których pięć porannych od 10-ej do 3-ej poświęca na pisanie, poobiednie zaś na czytanie i robienie notat.

Od lat kilku, to jest od czasu, w którym była zagrożona utratą wzroku, w czytaniu wyręcza się po części lektorką.

Pozostając w szczęśliwszych niż ogół naszych literatów warunkach materyalnych, oprócz bowiem majątku posiada jeszcze spory kapitał, Orzeszkowa nie potrzebuje zdolności swych rozpraszać na artykuły dziennikarskie i roboty pośpieszne—a także oglądać się na gusta wydawców i upodobanie czytającej publiczności.

Pisze nie dla chleba i nie dla sławy nawet, lecz jedynie dla zadośćuczynienia tej potrzebie ducha, jaka ją do literackiej działalności popchnęła kiedyś, a która z biegiem czasu stała się niejako nałogiem.

To też kto zna Orzeszkową bliżej, ten choćby się nawet na jej poglądy i tendencje nie pisał, odcień musi pobudki, jakie ją do publicznego wygłaszania tendencji i poglądów tych skłaniają.

Jedną bowiem jeszcze z charakterystycznych cech Orzeszkowej jest jej niepospolita publicystyczna sumiennosc. Zanim z nowem dziełem przed forum publicznem wystąpi, poświęca mu zazwyczaj długie godziny obserwacji i mozolnych studyów. Dosyć powiedzieć, że gdy zrobiła projekt napisania „Meira Ezofowicza,” wpiersw nim do pióra, wzięła się do talmudu, dnia całe nieledwie spędzając w towarzystwie najslynniejszego rabinisty grodzieńskiego, który jej tłómaczył mądrość starego zakonu i bardziej zawile ustępy, żywym komentował słowem.

Podobnie się też rzecz miała z pracami jej osnutymi na tle stosunków starożytnej Romy.

Pół roku przeszło studyowała historję rzymską (specyalnie czasy Cezarów), zwiedziła wiedeńskie muzeum starożytności, zanim do pisania się wzięła.

To też jedyne chyba życzenie mamy, aby ta idealna oórka własnego społeczeństwa, pierwszorzędna gwiazda nie już naszego, lecz europejskiego literackiego horyzontu, najsumienniejsza pracowniczka w winnicy ogólnoludzkiego pożytku, długo nam jeszcze pracowała.



## WACŁAW BROZIK.

Znakomity malarz czeski Wacław Brozik <sup>1)</sup>, który jednym zamachem zdobył sobie serca publiczności i krytyki, liczy obecnie dopiero lat 33, a rzecz śmiało można, iż wszystko sobie samemu zawdzięcza. Cała artystyczna jego karyera—to szereg prac i trosk nieustannych, mozolne dobijanie się do uznania, szczytne a wytrwałe dążenie do najwyższych artystycznych zadań i celów.

Mały Wacław, syn ubogiego ślusarza z Kosirza pod Pragę, już w dzieciństwie zabawiał się chętniej rysunkiem niż książką, a od rysunku do farb przejście dlań łatwe i wtedy to maluje pierwszy olejny swój obraz „Rodzinę koszykarzy.”

Ojciec, chcąc mu przystojny kawałek ohleba zapewnić, umieszcza go w fabryce porcelany na Smichowie—mały artysta atoli nie długo tam gości.

Wieść, o nadzwyczajnym talencie Wacława oblała się wreszcie o ucho profesora i rektora akademii praskiej Trengwalda, który chętnie chciał otworzyć jej przybytek przed młodym artystą, ale stanął temu na przeszkodzie brak wszelki u Brozika nawet elementarnego wykształcenia. To też Trengwald umieszcza go czasowo w szkole przygotowawczej, z której dopiero w roku 1858 Brozik do akademii przechodzi. W dziesięć lat później, święci swój pierwszy tryumf

<sup>1)</sup> Szczegóły czerpiemy z broszury: „Vaclav Brozik und sein neuestes Gemälde Mag. Johannes Hus vom Constanzer Concile zum Tode verurtheilt.” Prag 1883.

w Paryżu. W ciągu dziesięciu lat zdolny obłopak wyrasta na znakomitego artystę!..

W roku 1871 po ukończeniu akademickich studyów, porzuca Brozik Pragę i próbuje szczęścia na szerszej widowni—w Dreźnie. Wpierw już zwrócił się był stanowczo do historycznego malarstwa i nawet sprzedał już parę wcale dobrych płócien—obecnie nie porzuca dziejów rodzinnych, chociaż trudne warunki życia nie sprzyjają wcale twórczości.

W ciasnej, ciemnej izdebce na strychu pracuje on nad dużym obrazem: „Gody weselne wdowy po Ottokarze II”, kopiując „dla chleba” obrazy starych mistrzów. Wspomniane płótno zyskuje poklask na praskiej wystawie, znajduje nawet kupca, imię artysty nabiera rozgłosu—Brozik atoli łatwych nie szuka tryumfów, dąży wyżej, pragnie kształcić się i pracować pod kierownictwem skończonych artystów.

W tym celu przerzuca się do Monachium, gdzie pod kierunkiem Pilotyego wykończył dwa historyczne płótna: „Odjazd Ottokara II” i „Zasłubiny księżniczki Dagmary z królem duńskim Waldemarem II.” Pierwszy z nich wystawia w Monachium w roku 1874, drugi w Pradze w rok później. W czasie pobytu w bawarskiej stolicy powstaje urzędywistniony następnie projekt osiedlenia się na stałe w Paryżu. Brozik wezwany przez pewnego milionera, udaje się na nowo do Pragi dla zebrania nieco grosza na tę daleką i kosztowną podróż. Mecenas ów zamówił był u niego seryę medalionów, z których kilka zakupiwszy, opuścił kraj na długo, pozostawiając artystę wprawdzie z kilku jeszcze medalionami na sztalugach, ale bez grosza w kieszeni. Szczęściem— a szczęście to odgrywa niemałą rolę w życiu Brozika — bierze malarza w opiekę inny człowiek dobrej woli, który zasiłkiem pieniężnym ułatwia mu powrót do Monachium, a nawet wyznacza roczną pensję na wycieczkę artystyczną do Paryża. Takim to sposobem dostaje się nareszcie Brozik w grudniu 1876 roku do stolicy Francji, gdzie atoli już po dwóch miesiącach pensya jego urywa się nagle i młody artysta pozostaje literalnie na bruku bez przyjaciół, bez znajomych, bez znajomości nawet miejscowego języka, bez środków do życia. Pozo-

staje więc tylko Brozikowi zabrać się żywo do pracy, też maluje na sprzedaż mały obrazek „Ofiarę fanatyzmu,” a na wystawę płótno sporych rozmiarów jeszcze w Monachium zaczęte, a obecnie przemalowane „Zasłubiny księżniczki Dagmary.” Obydwa obrazy przyjęto w roku 1877 do paryskiego salonu, a krytyka pochwaliła nawet kolorystyczne zalety.

Nie wystarczyło to atoli młodemu artyście. Ze zdwojoną energią ujmuje znów za pędzel; płótno na pięć metrów długie, farby, ba, nawet modele dostaje na kredyt i—w rok potem wystawia w salonie obraz zatytułowany: „Władysław król czeski i węgierski na dworze Karola VII króla francuzkiego.” Powodzenie przeszło wszelkie oczekiwania. Obraz nieznanego prawie wcale i obcego artysty—nagrodzony został srebrnym medalem, a w kilka dni potem znalazł kupca w osobie głośnego handlarza dziełami sztuki, Sedelmajera, który zań ofiarował zdumionemu i uszczęśliwionemu artyście 10,000 fr. Od tej chwili datuje się powodzenie materyalne i wziętość Brozika.

W latach ostatnich twórczość czeskiego artysty nie osłabła ani na chwilę, a rozwój talentu zaznaczył się wybitnie w dwóch obrazach stanowiących koronę dotychczasowej jego działalności. Oprócz wielkiej liczby portretów i pomniejszych kompozycji, jako to: „Partya szachów,” „Ballada,” „Uczta u Rubensa,” „Petrarka i Laura na awiniońskim dworze,” „Cesarz Rudolf i alchemicy,” oraz trzech malowideł do teatru narodowego w Pradze, powstały niedawno na sztalugach artysty dwie kreacje przednie, z których pierwsza zatytułowana: „Kolumb na dworze Ferdynanda i Izabeli” wystawioną była w paryskim salonie w roku 1881, druga zaś obecnie znajduje się na warszawskiej wystawie.

„Hus na soborze w Konstancyi” zwrócił na siebie poważną uwagę w zeszłorocznym paryskim salonie, który nagród żadnych nie rozdawał; rząd francuski natomiast zaszczycił artystę krzyżem legii honorowej. Obraz ten jest własnością miasta Pragi, dokąd wróci niebawem z wędrówki po Europie.

Brozik namalował obraz historyczny — a pojął go tak, iż uchwycił za serce nie tylko swych rodaków, oczujących w Husie du-

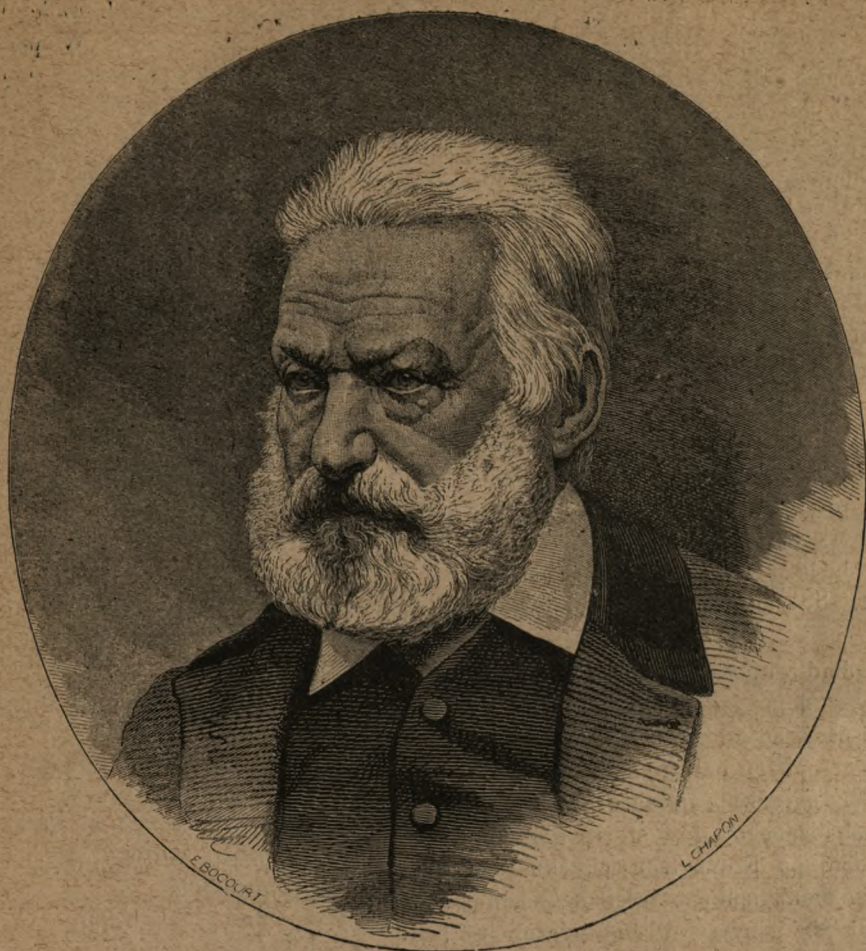
chowego gladiatora, walczącego za naród, ale i wszystkich ludzi, zdolnych odczuć walkę męczennika za prawdę z przedstawicielami interesów i poziomych namiętności. Ktokolwiek do tego obrazu przyjdzie: czy będzie znał historię Husa, czy tylko będzie ogólnie wykształconym człowiekiem, pojmie duchowy dramat, rozgrywający się między tym zwycięzko uśmiechniętym, potężnym i tryumfującym przedstawicielem kościoła, a tym odartym, potępionym, ze wzrokiem do nieba skierowanym, ale potęgą ducha nad wszystkimi panującym — męczennikiem.

Jasna, entuzjastyczna postać Husa z pomroki dziejów przemawia silnie do imaginy. W gruncie, była to natura nerwowa, ascetyczna i podbijająca. Hus, jak większość reformatorów z rodu słowian, nietyle był dogmatykiem, ile marzycielem, występującym przeciwko rzeczywistości na korzyść podeptanych i upośledzonych. Chciał on reformy życia więcej, niż reformy religii, chciał czystego, onotliwego duchowieństwa, chciał ludzkich stosunków, opartych na słowach ewangelii. Prócz tego, Hus był ochem, był narodowcem i ta okoliczność grała ogromną rolę w jego potępieniu. Dziś jeszcze, dla historyków niemieckich, nawet protestantów, nie jest on sympatyczny. Nie był, według nich żadną wielkością, ale tylko uczniem Wiklefa i drobnym zwiastunem reformacji. Jako fanatyczny nieprzyjaciel niemców, dążył przez swój spis uniwersytecki do ponizienia Lipska i Wrocławia, a wywyższenia słowiańskiej Pragi. Lecz o tę ograniczoność narodową skruszył się Hus, a słowiańska krańcowość skruszyła husytyzm; język słowiański przeszkodził rozprzestrzenieniu się nauki Husa po za granice małych Czech. W tej ograniczoności i odosobnieniu, wykwitła nienawiść narodowa, a imię czeskie było synonimem mordów i pożogi, które mi znaczyli swe drogi husyci.

Ileż żywszym musiał być ten stronniczy pogląd w namiętnem zgromadzeniu, jakie się zebrało w lipcu 1415 roku, w katedrze kostnickiej! Jak przepysznie artysta scharakteryzował to położenie: ten cesarz Zygmunt, w majestacie, otoczony dostojnikami, siłą się na bezstronność, a jednak wiarob-

mny i zakłopotany swą zdradą i rumieńcem wstydu na czole, oi prałaci miotani uczuciem zawiści, huczący burzą religijnych, narodowych i społecznych namiętności, a jednak na pozór zachowujący wszystkie oznaki dostojnego zgromadzenia i sprawiedliwego sądu; wreszcie ta garstka towarzyszy i współuczniących ceskich panów—jakże się pysznie zlewają w jeden obraz gwałtownej, religijno politycznej zawieruchy! Hus stoi w środku, uniesiony świętem swem natohnieniem, zda się, że swemi historycznymi słowami na ustach: „Panie Jezu Chryste, przebacz nieprzyjaciołom moim. Ty wiesz, że mnie fałszywie i niesprawiedliwie oskarżyli, lecz wybac im dla miłosierdzia Twego!”

Obraz jest dziełem skończonym, dojrzałe obmyślanem i wszędzie z równą, a niezawodzącą potęgą wykonanem. Może być, iż ogólnemu wrażeniu zarzuciłoby się dał pewien chłód, pochodzący z równomiernego obrobienia całości, lecz dla nas, jest to tylko spokój artystyczny, jaki zawsze panować winien w dziełach sztuki, jeśli się one mają tłumaczyć jasno i zrozumiale. Dalej, sam Hus lubo odczuty, nie jest atoli najszczęśliwiej wykonanym i artyście nie starczyło siły do scharakteryzowania tych wielorakich uczuć, jakie miotają piersią czeskiego reformatora. Profil, który artysta wybrał dla tej sylwetki, lubo energiczny, nie dawał mu pola do rozegrania duchowego dramatu. Lecz za to, jakież bogactwo charakterystyki wszystkich prałatów i panów, składających zgromadzenie. Co to za pewnością swego tryumfu w twarzy tego biskupa z Concordii, lub, co to za zacięcie na obliczu kardynała Aliaca, który kierował procesem inkwizycyjnym przeciw Husowi. Albo te dwie postacie panów czeskich: Jana Kepka z Chluma i Waclawa z Dubé i Listna, z których jeden trzyma gleit, wydany przez cesarza Husowi, a dziś zwitek papieru bezużyteczny, a drugi młotek, jakby się gotował do przybicia protestu na drzwiach kostnickiej katedry. Mistrzowski pendzel umiał nadać materyom ich blask i właściwą mięszość, odtworzyć architekturę i całość utrzymał w spokojnych tonach kolorytu, zlewającego się w doskonałą harmonię.



## WIKTOR HUGO.

1802—1882.

Uczta. Wielka sala rzęsiście oświetlona: kryształy w niej migocą, żyrandole blaskiem olśniewają; coraz bardziej wzmagą się szmer rozmów tego świata, co myśli, pisze, imię głośnie nosi, co w zakresie teatru, dziennikarstwa, literatury, siłę, wiedzę lub sławę uosabia. Na honorowym miejscu, przy stole siedzi starzec czerstwy, pomimo siwizny. Wszystkie spojrzenia, wszystkie zapaly ku niemu są zwrócone. Naraz, w oznaczonej chwili, wrzawa cichnie nastaje milczenie pełne poszanowania. Mężczyzna siedzący obok owego starca, także chluba swego kraju, Emil Augier, powstawszy ze szkle-

Galerya współczesnych znakomitości.

nicą kryształową w rękę, wobec zgromadzenia słuchającego z głową odkrytą, głosem czystym, dźwięcznym, męskim — wnosi toast *ojca*, jak go ze czcią nazywa.

To obchód setnego przedstawienia *Hernaniego*. Przed W. Hugo, w dniu tym, Francya, która myśli, ozoło uchylała.

Przyjrzyjcie się teraz tłumowi. To fala ludzka, kołysząca się pośród okrzyków, wiatów i kwiatów. Pod szarem niebem lutowem, cały naród przesuwa się przed oknem poety. Siwy włos miesza się ze złocistym w tej rzece mężczyzn i kobiet, przepływającej przez ulicę d'Eylau, z pokłonem i okrzy-

kiem na cześć krzepkiego, choć dobiegającego lat ośmdziesięciu starca, który stoi pomiędzy wnukiem swym i wnuczką. To już nie ojciec francuskiej literatury nowożytnej, ale przodek dziad, — którego całe miasto — i jakie miasto, Paryż! — naród cały i przedstawiciele zagraniczni przybywają uczcić pochodem, przed jego mieszkaniem. Fala płynie za falą, chorągiew mknie za chorągwią, wieniec piętrzy się na wieniec. Jestto grzmot wiwatów i deszcz z kwiecica. On, od południa do zmroku stoi wyprostowany, wpatrując się w ten ogromny orszak, co imię jego wygłasza.

To święto W. Hugo. W dniu tym poeta ujrzał uchylającą ozoło przed jego czołem Francję, która pracuje i walczy. Za życia przestąpił progi nieśmiertelności, jak się ktoś pięnie wyraził. Bankietem *Hernaniego* złożył mu hołd kwiat narodu, święto zaś lutowe z r. 1881, było apoteozą ze strony mas.

Jakże sądzić takiego człowieka w obecnej chwili? Wszakże, jak powiadam, jest on przodkiem naszym, nie roztrząsać go zatem, ale mu oddać pokłon należny. O zmierzchu szczyty gór połyskują jeszcze promieniami słońca zachodzącego; gdy się rozglądamy dokoła siebie po Francji, u schyłku tego stulecia, ze smutkiem spostrzegając cienie, dosyć podnieść głowę, abyśmy ujrzeli to światło, ten wierzchołek, jak śnieg biały, odbłaskami zorzy jeszcze świecący.

Wiktorowi Hugo przypadło w udziale być odbiciem namiętności, marzeń, nadziei, gorączek naszego wieku XIX, który jest także *wielkim wiekiem*. Wyszedł on z punktu królestwa wandejskiego, aby wkroczyć do republiki ateńskiej, z ideją wyzwolenia społecznego, a zarazem z zapalem do wolności i sztuki. Ulegał falowaniu myśli francuskiej od 1815 do 1882 i przyszłe pokolenia widzieć w nim będą wspaniałe wcielenie dwóch idei emancypacji szlachtetnej: w literaturze idei buntu przeciw formułkom umówionym, — w imię prawdy; w polityce, idei protestu, w imię prawa.

Skutek tej podwójnej zasługi był taki, że pozyskał on sławę i wygnańcem został. Nadszedł jednak dzień, kiedy mu było danem powrócić do kraju i patrzeć w Paryżu

na swą wzrastającą chwałę. Jakież to wspomnienia, sięgające już lat blisko dwunastu!

Towarzyszyłem pocię *Legendy Wieków*, w jego powrocie do Francji. W poniedziałek, 5 września 1870 r., nazajutrz po upadku Cesarstwa, W. Hugo znajdujący się podówczas w Brukselli stanął w dworcu kolejowym, żądając biletu do Paryża, głosem mimowoli drżącym ze wzruszenia.

Widzę go jeszcze.

Z pola bitwy pod Sedanem, udałem się wprost do Brukselli, gdzie w niepokoju łatwym do pojęcia, spędziłem ten gorączkowy dzień 4-go, chodząc ciągle z poczty do biura telegraficznego — i odwrotnie. Wieczorem, na wieść o ogłoszeniu republiki, W. Hugo postanowił jechać nazajutrz do Paryża. Od czasu amnestyi, będąc dobrowolnym wygnańcem, mieszkał on poza granicami Francji, z niezachwianem postanowieniem dotrzymania przysięgi, uczynionej po dwakroć: najpierw w *Châtiments*, a potem w listach ogłoszonych drukiem, gdzie woła: *Gdy wolność powróci, ja także wrócę!*

Francya, napozór przynajmniej, była zwróconą samej sobie. Już nie wolności jej grożono, lecz niezależności. Wiktor Hugo mógł i powinien był wrócić do Paryża obłożonego. Ani jeden szczegół tego dnia nie wyszedł mi z pamięci.

W owym dniu 5 września W. Hugo w miękkim kapeluszu pilśniowym, z torebką skórzaną, przewieszoną przez ramię, blady, bardzo wzruszony, instynktownie spojrzał na zegarek, idąc po bilet. Zdawało się, iż chce wiedzieć dokładnie, o której godzinie wygnanie jego miało się skończyć. Tyle lat minęło — dziewiętnaście! — od dnia, kiedy w tym Paryżu, którym mocą geniuszu swego zawładnął, — wypadło mu zostawić wszystko, co stanowiło jego egzystencję; mieszkanie, z którym się żył, książki ulubione, meble, obrazy, a nawet, dopiero co zaschłe wiersze ostatnie.

Teraz wszystko to skończyło się. Nie na miesiące, ale na minuty liczył już czas, od dzielający go od chwili, kiedy zawoła: — „Oto Francya!” Na dworcu kolejowym wierni przyjaciele połączyli się z powracającym do kraju. Niektórzy płakali. Pociąg ruszył, a Wiktor Hugo siedząc na przeciw nas, przyglądał się, przez okienko, widno-

kręgowi i krajobrazom, zanim przebywszy granicę, ujrzy drzewa, łąki, ziemię, nawet powietrze i niebo ojczyzny swojej.

Nie, nigdy nie zapomnę, jak silne i bolesne wrażenie sprawił na tym człowieku, wówczas sześćdziesięcioletnim i posiwiałym na wygnaniu, widok pierwszego żołnierza francuzkiego, którego dostrzegł z głębi wagonu.

Było to w Landrecies; żołnierze z oddziałów korpusu generała Vinoy, cofającego się z Mézières do Paryża, zmordowani, okryci pyłem i potem, bladzi, zniechęceni, pokonani zanim się bić zaczęli, siedzieli lub leżeli wzdłuż drogi. Uciekając przed ułanami, którzy byli w bliskości: dążyli do wielkiego miasta, żeby nie paść ofiarą klęski, skutkiem której ostatnia armia francuzka stała się pod Sedanem łupem dla cytadel pruskich. Ze spojrzeń ich widniała porażka, a z postawy fizycznej upadek moralny przebiegał. Nędzni byli, źle przyodziani, rozproszeni jak kamyki gnane przez burzę; ale cóż z tego? Zawsze byli to żołnierze francuzcy; nosili na sobie ukochany mundur francuzki: surdut błękitny i spodnie czerwone. Uciekając nawet, zdołali unieść swe chorągwie trójkolorowe nieuszkodzone.

Duże łzy stanęły nagle w zasępionych oczach W. Hugo; wychyliwszy się przez okienko, zawołał głosem czystym, donośnym, namiętym: „*Niech żyje Francya! Niech żyje armia francuzka! Niech żyje ojczyzna!*”

Pomordowani żołnierze, patrzyli błędnie, nie rozumiejąc.

On, ciskał im ciągle słowa zachęty i przebiegle wiwaty: „Nie, nie, to nie wasza wina; wyście spełnili swój obowiązek!” Skoro poiąg ruszył w dalszą drogę, łzy zaczęły mu zwolna spływać z oczu po licach i zatoneły w siwej brodzie.

Do owego czasu żył on w [tej] uludzie technącej dumą i pychą, że Francya nie może być zwyciężoną. Jako syn wojaka, sądził, że żołnierze francuzcy będą wiecznie chwalebni okryci; jako patriota, przeznaczał ojczyźnie stanowisko najpiękniejsze i najniebezpieczniejsze: pierwsze miejsce przedniej strazy. I wszystkie jego nadzieje w niwecz się obróciły! Usłyszeliśmy wtedy, jak szepnął głucho, z akcentem prawdy i bólu: „Bogdaj-bym więcej nie ujrzał już Francyi, jeśli ja

mam widzieć podzieloną, zmalą, taką, jak była za Ludwika XIII”.

Już przeszło jedenaście lat, jak się zdarzyło to wszystko, a ja widzę jeszcze, jakby w owej chwili, te łzy wielkiego poety, co z głębi serca, jak krew z rany, tryskały.

W. Hugo jest (i przynosi to zaszczyt jego geniuszowi), szczerym, gorącym, rzekłbym prawie ciasnym patriotą i Francuzem, gdyby nie to, że sam wyznaczył *Stany Zjednoczone europejskie* za ojczyznę społeczeństwu przyszłemu. Ale ta wielka ojczyzna, o jakiej marzy, nie przeszkadza mu wielbić drogiej i małej ojczyzny, której jest synem.

Jest on *patriotą*, a w odniesieniu do W. Hugo, wyraz ten nie jest czołą nazwą. Był nim już jako mały chłopczyk, kiedy siedząc na koniu ze swym ojcem, generałem Hugo, galopował po przez Hiszpanię zawojowaną. Pozostał nim i dziś, w osmdziesiątym roku życia, po tylu latach i tylu próbach. Miłość jego dla narodu *ukłiwa i głęboka*, jak sam powiada, jest nieodłączną w sercu jego od miłości dla ojczyzny.

Ludzkość jest jego boginią; ale ojczyzna raz jeszcze powtórzę, jest matką jego.

Skoro Francya uwolniła się od załogi pruskiej, gdy Verdun, ostatnie miasto zajęte przez nią zostało ewakuowane, któregoś poety głos rozległ się we Francyi, ze słowy pociechy, nadziei i gorzkiej radości? Czy jednego z tych młodzieńców, co otrzymali od przyrody dar harmonijnego wierszowania, zręczną technikę, dbałość o formę i muzyczny akcent rytmów? Był że to głos człowieka z naszego pokolenia zwątpiałego i zgnębionego, jeśli nie jest ironiczne i zropaczone? Nie. Tym mężem był Wiktor Hugo, był dziad tych, co dziś śpiewają, — ale treścią ich pieśni nie jest już ojczyzna i nadzieja. Anakreonci z Parnasu pozwolili wydać okrzyk wyzwolenia temu Tyrteuszowi, co w siedmdziesiątym roku życia, krzepki jest i trzyma się mocno gruntu, jak dąb galijski.

Rzeczywiście, ogólnym wyrazem fizjonomii W. Hugo — jest siła. Godłem jego we wszystkim mogłoby być: *Robur*. Ramiona ma szerokie, muszkuły mocne, głowę wielką. Nie jest to już owa twarz młodzieńcza, zadumana i bez zarostu, z której Dawid (d'Angers) zrobił, przed laty marmur techną-

cy życiem; lecz oblicze brodate, które bądź co bądź pozostanie najpopularniejszym i według mego zdania, najlepiej nawet wyraża silnego i wojowniczego ducha W. Hugo.

Cera jego niegdyś blada, stała się czerwona; wiatr oceanu zabarwił mu policzki, okolone pięknym, literalnie srebrzystym zarostem. Włosy białe i gęste jeżą się nad tem błyszczącym, wypukłym, szerokim czołem, co przeszło w legendę. Z pod czoła tego, oczy błękitne — to gniewne, to namiętne, to dowcipem tryskające, to dobrocią rozjaśnione, spoglądają z zadumą lub złośliwie. Głos ma gardłowy, donośny, nieco ostry; ruchy wytworne, grzeczność starodawna, ową grzeczność francuzką z przed angielskiego *shaken-hands*; uprzejmość niezrównana pomimo takiej chwały, pewna nieśmiałość wrodzona, naturalna, ta, co z dumy godziwej pochodzi, wdzięk połączony z geniuszem, wielki urok wydzielający się z wielkiego człowieka — oto cechy W. Hugo, kiedy gości przyjmuje i o swej przeszłości literackiej gawędzi, bawiąc się z wnukami.

Te dwoje dzieci syna jego Karola, stanowią jakby ramę, w której białe włosy dziadka wydają się jeszcze poważniejsze, a uśmiech sympatyczniejszy.

Pomiędzy *petit Georges* i *petite Jeanne*, co już bardzo wyrosli, dziadek, którego cały Paryż ujrzał w tem oknie, zdaje się odmłodzony i jakby otoczony dziecięcą aureolą życia wrzącego i wesołości. Któryż malarz spróbuje oddać taką antytezę: tę starość majestatyczną i ten wdzięk świetlany? Pusty śmiech dzieci odpowiada gorącym słowom dziadka, którego wczoraj jeszcze, szczeniąc, *papapa* nazywali (stopień najwyższy: *papa*). Poeta nasz zawsze kochał dziatwę; uśmiech maluczkich zawsze kołł jego gniew i pocieszał go w cierpieniu. „Cała moja poezja—to wy” mawiał niegdyś do swych synów.

Rzeczywiście, W. Hugo zawsze najpiękniej opiewał dzieci, te duszyczki, co się budzą i te oiałka, co się rozwijają jak kwiatki. Jest on poetą ojczyzny, opromienionej chwałą lub zwyciężonej; jest poetą wojaka walozącego i żołnierza, który umiera; wysławiał ze świetnem powodzeniem legendy francuzkie, które chociaż później sprowadzić do bardziej ludzkich stosunków, pomiędzy

innemi — Napoleona; był poetą barw w *les Orientales*, gdzie siał niejako rubiny i karbunkuły; był poetą szczęścia oiego, głębokiego, miłości uczciwej, w *les Feuilles d'automne*; był poetą marzycielstwa i wdzięku młodocianego, w *les Contemplations*; był poetą zemsty, niejako Izajaszem republikańskim, w *les Châtiments*; uplastyczył wielkość w *Hernani*; litość w *les Pauvres gens*; czułość poświęcającą się w *les Travailleurs de la mer*; uśmiech w *Coccinelle*; waleczność wojenną w *Quatre-vingt-treize*; ale najdoskonalej wyrażał, malował, opiewał, unieśmiertelniał — tę poezję żywą, biegającą, jaśniejącą, uwielbianą, ubóstwianą, jaką jest — *Dziecię*. Raz jeszcze powtórzę, pośród mnóstwa jego utworów, obok nagromadzenia myśli w *Misérables*, obok damy Kastylskiej w *Ruy Blas*; grozy w *Lucrèce Borgia*; wielkości w *Notre-Dame*; cierpien w *Marion*; ponurego marzycielstwa w *Charles Quint*; męczeństwa w *Gilliatt*—budzą w nas rozrzewnienie i sympatyę te istotki, pociągające urokiem nieprzepartym: Gavroche, gdy karmi brata swego, albo *Petite Jeanne*, gdy się uśmiecha wobec kul padających, na tych kartkach pełnych prochu w *L'Année terrible*, a Gros-Alain i dwaj jego towarzysze wśród łuny krwawej w *La Tourgue*.

Ale dwoje wzrastających dzieci z których jedno będzie jutro mężczyzną z wielkiem imieniem: Jerzy Hugo, a drugie dziewczicą dorosłą, — to pociecha poety. Co się zaś ty-cze zmarłych, wskrzesza ich w kartkach, które nazywa: *Mes Fils*. Zresztą, w pracy ma cenną i skuteczną pomoc do zapanowania nad boleścią, po tylu stratach poniesionych. „Nulla dies sine linea”, oto hasło jego. Wstaje o szóstej rano, w tym pałacyku przy ulicy d'Eylau (myślę się i ja sam zażądałem, by ją inaczej nazwano) siedzi przy robocie w swoim pokoju, przy „ulicy *Wiktora Hugo*”. O jedenastej oddaje się ablu-cyom, je śniadanie wraz dziećmi, krząta się. Dawniej, lubił w piękną pogodę chodzić rano do Tuleryj i przyglądać się chłopcom, kopiącym dołki w piasku. Teraz do Tuleryj za daleko, używa zatem świeżego powietrza w swoim ogrodzie. Potem wraca do pokoju i znowu pracuje lub idzie do senatu. Sprzyja on senatowi i chętnie go broni.

Wieczorem przyjmuje gości, rozmawia po obiedzie i kładzie się o jedenastej. W całym jego życiu nie można by wytknąć żadnego nadużycia; chyba w pracy, ale ta praca jest właśnie jego żywiołem. „W ciągu całego życia mego, które jest długie, rzekł nam pewnego razu, nie wypilem tyle alkoholu, ile się mieści w kieliszku od Bordeaux.”

Myśl ma ciągle jest zajęta i to rozmaitemi dziełami: sztuką teatralną, romansem, poezją: *la Fin de Satan*, *les Jumeaux*, lub *Torquemada*.

Skoro mu przyjdzie świeża idea do głowy, szybko ją przelewa na papier, w kształcie notatki, nazywając to *mes copeaux*.

Są *copeaux* dzienne i *copeaux* nocne. W bezsenne nocy zapisuje po ciemku napastujące go myśli, a nazajutrz, gdy dzień zaświta, jedna litera, jedno pociągnięcie ołówka, wystarcza, aby odnalazł myśl, którą chciał utrwalić, pośród tych hieroglifów, w ciemnościach kreślonych. Owych *copeaux* notat, półwierszy, wrażeń, wspomnień — zawiera się tyle w pugilaresikach, że wyniosłyby kilka tomów. Można by je nazwać i kto wie czy się nazywać nie będą: *W. Hugo z dnia na dzień*. Są to okruchy geniuszu.

Ta ciągła praca, rozmowy codzienne, myśl, co w sobie nosi, wspomnienia, które jeśli się tak wyrazić można, wyrzuca z siebie, bynajmniej go nie osłabiają. Obecnie jeszcze, chodzi prędko jak młodzieniec i po wschodach żwawo się wspina.

Pod względem fizycznym zresztą, W. Hugo zawsze był tak obdarzony, jak nikt inny; według tego co Gustaw Planche napisał, ma on tak bystry wzrok, że z wysokości wież *Notre Dame*, z łatwością mógł poznać przechodzącego przyjaciela. Oko u tego poety wyrównywa mózgowi.

W. Hugo jest fanatykiem higieny — i to tłumaczy jego czerstwość. Ilekroć widzieliśmy, kiedy mieszkał przy ulicy Pigalle, Nr. 55, jak przy oknie otwartem, wśród zimy rozbierając się wieczorem lub rano, stojący w kaftaniku trykotowym, pisał prędko, charakterem pewnym, swobodnym i to można powiedzieć pod gołym niebem! Nad *Notre Dame de Paris* pracował on w zimie: na kominku palił się ogień, a jednocześnie wiatr zimny wnikał przez okno otwarte na oścież. Starzec ten krzepki i szczególnie

prosty w obyczajach, pomimo upodobań uczonego i wykwińskiego artysty, lubi sypiać na żelaznym łóżku, prawie bez posłania, jak cesarz niemiecki, który w zamku swym: Babelsberg, zwykł się kłaść na materacu żołnierskim.

Dziś W. Hugo, odzwyczajony od wygnania, wspomina jednak czasem ze wzruszeniem, prawie z żalem, ten dom Hauteville-House, w Guernesey, zwiedzany przez *turystów* jako osobliwość wyspy. „Sypiałem tam snem dziecięcym!” mówi, jak gdyby słyszał jeszcze, pod oknami swego mieszkania, kołysanie się morza. Okazało było to mieszkanie, gdzie poeta zgromadził zabytki z pysznego apartamentu, który zajmował niegdyś na placu Królewskim i osobliwości, które nabył jako wygnaniec. W tem to wspomniałem *intérieur* Guerneseyjskim, raczej niż w salonie japońskim, z zyrandolem weneckim przy ulicy d'Eylau, należałoby przedstawiać W. Hugo, działającego i myślącego. W Guernesey, obicia, meble, obrazy, napisy, licowały z duchem i z temperamentem człowieka, który je wybierał. On sam prawie budował, stawiał tam wszystko. Pewnego razu do Viollet le-Duc, rzekł wśród gawędy wieczornej: „Szkoda, że jestem poetą, jaki byłby ze mnie architekt!”

A jaki lekarz!

W Hauteville-House napisy przezeń ułożone, godne szkoły w Salerno, przeplatane były sentencyami, przypominającemi te energiczne słowa Agryppy d'Aubigné'go, to tekst z *Déclaration des droits de l'homme*. Oto kilka godeł, jakie zapamiętałem:

Lever à six, dîner à dix.

Souper à six, concher à dix,  
Fait vivre l'homme dix fois dix.

*Gloria victis. Vae nemini.*

L'esprit souffle où il veut,  
L'honneur va où il doit.

Biblioteka w Hauteville-House długi czas zawierała autografy rękopisów W. Hugo, które p. Paweł Meurice zawiózł tam kiedyś dla uporządkowania.

Dotykałem tych manuskryptów; przerzucając je kartka po kartce, nie wierzyłem sobie, zdawało mi się, że śnię. W Guernesey spoczywały one oddawna w ogromnej

szafie. Manuskrypt *Bug-Jargal'a!* Manuskrypt *Hernaniego!* Manuskrypt *Les châtements!* Widzieć to, przerzucać, w rękach mieć, w podobnym fakcie jest coś wzruszającego. Malarz Gleyre przesuwiał kiedyś dłoń po rysunku Rafaela, mówiąc: „on przykładał do tego rękę! Palce jego dotykały tego papieru!” Po części, doznajemy takiego gwałtownego wzruszenia i równa część nas przejmuje na widok tych zeszytów, które dziś stały się książkami nieśmiertelnymi.

P. Paweł Meurice przewiózł je w jednej z tych skrzyń metalowych, jakie wyrabiają Anglicy; przeznaczonem jej widać było służyć do transportu literackiego, nosiła bowiem nazwę: *The Vaverley*.

Rękopisy W. Hugo rozmaity mają wygląd: niektóre są to poprostu kajeta, nawet niezeszyte (*Hernani*) inne, intrologator w Guernesey, oprawił w pergamin, z tytułem wyciśniętym dużemi ozerwonemi literami. (*Le roi s'amuse*) Są pomiędzy niemi ilustrowane przez samego W. Hugo, jak *Les Travailleurs de la mer*, gdzie potężna fantazja poety stwarzała nie tylko tekst, ale i widoki morza, lub starego Guernesey, jego szczyty, wyębienia, postaci gnomów, albo osób wziętych z romansu, *Mess Lethierry* z faworytami i z fajką w ustach wykrzywionych, typy marynarzy, studia morskie, obrazy burzy, zdumiewająco fantastyczne i z naturalizmem dziwacznym przedstawione.

Manuskrypt *Hernaniego* jest to sekstern z papieru w dużym formacie, poźółkły, za pisany charakterem drobnym i ścisłym. Poprawek (*repentirs*) wierszy przekreślonych jest mnóstwo. Teraźniejsi wydawcy przywrócili z nich niejednen. Oryginalny ten rękopis ma na pierwszej karcie napis hiszpański: *Tres para una*. (Trzech dla jednej, trzech mężczyzn dla jednej kobiety.)

Każdy akt zaopatrzony jest w datę na początku i na końcu. Pierwszy zaczęty został 29 sierpnia 1829; drugi, zaczęty 3 września, skończony 6-go; trzeci zaczęty 8 września, skończony 14-go. Czwarty zaczęty 15 września, skończony 20; piąty, zaczęty 21, skończony 25-go.

W. Hugo znaczył akty nie numerem, ale literą specjalną: a, b, c, d i e. Wzdłuż papieru ciągną się notaty, adresy przyjaciół, np. *Alphonse Royer, rue Neuve-de-la-Ferme, 16,*

*au-dessus de l'entresol*, rysunki: dwugłowy orzeł cesarski, z tarczą herbową pośrodku kadłuba i z tym wierszem:

*A la place du coeur il a son-écusson!*

notaty historyczne, objaśnienia potrzebne do sztuki, dla nadania jej barwy lokalnej: *Privilege des Hijar de dîner avec le roi d'Espagne le jour de l'Epiphanie*. Albo: *Je suis petit comme Alexandre, qui doit être dit par Charles-Quint*.

Co jest zajmujące i co warto zbierać, to wiersze niespożytkowane, które W. Hugo zapisuje na marginesie, przeznaczając je bądź do samego *Hernaniego*, bądź do zbioru poezyj, o których później zapomniał, lub z umysłu je zaniedbał. Są pomiędzy niemi i wspaniałe i dowcipne i malownicze.

W akcie II gim, pewno Karol V lub Hernani sztydził, albo miał sztydzić z Ruy Gomezem, mówiąc doń:

..... La tête d'un vieux  
Devient donc plus légère en perdant ses cheveux?

A dalej określenie miłości, która jest

Pour les jeunes aveugle, et borgne pour les vieux;

Wiersz następujący smętny i ze śliczną myślą, był pewnie przeznaczony Ruy-Gomezowi, który, choć starzec, pragnie kobiety ukochanej, ooby przyszła:

Dérider d'un baiser un sourcil qui se froncel

Wiersze te nie są zamieszczone w dziełach kompletnych, ale p. Paul Meurice pewno zbiera je wszystkie w końcu edycji, — te aleksandryny pojedyncze, okrucy geniuszu, że je tak raz jeszcze nazwiemy, a które same przez się, jużby mogły okryć chwałą.

Jeden z tych wierszy niewydrukowanych ma kapitalną wagę, ze względu na historyę idei samego poety. Na marginesie *Hernaniego* jest ten oto wiersz, całkiem osobisty, który wskazuje, co myślał już r. 1829, przyszły autor: *Nędzników*.

Moi,

Poète trop longtemps près du trône attardé!

W. Hugo nakreślił tytuł *Hernaniego* dużemi literami drukowanemi i z wielkimi odstępami, prawie w ten sposób.

H e r n a n i .

Tytuł *Marion Delorme* napisany jest charakterem angielskim, ale na pierwszym dawnym arkuszu manuskryptu, czytamy: *un duel sous Richelieu!* Pojedynek za Richelieu'go. Byłto pierwotny nagłówek sztuki.

W. Hugo zaniechał go, a w późniejszym czasie p. Lockroy ojciec skomponował pod tym wzgardzonym tytułem dramat, który miał powodzenie.

Rękopis *Marion Delorme* nie jest oprawny. Za to *Le roi s'amuse* wspaniała ma szatę pergaminową. Sztukę tę napisał poeta na błękitnym, dziś już wypłóviałym papierze dużego formatu i większym charakterem niż *Hernani*. Na karcie tytułowej widzimy napis: „Zaczęty 3 czerwca 1832, skończony 23 czerwca.” Są akta, pierwszy i piąty, co zabrały dwa dni pocie, nie więcej. Przy końcu sztuki znalazłem rysunek *à l'encre*, przedstawia on jakąś postać nieszczęsną z szerokimi usty, z łokciami opartymi na kolanach i z dużymi nogami w trzewikach, w których nosy zakrzywione są do góry. W dalszym ciągu manuskryptu są plany, jak wystawić sztukę, jak rozmieścić dekoracye, np. pałac de Cossé z murami, drzewka małe, arkady, dom Blanki, ulicę, a w ostatnim akcie dzwon, którego kształt wskazuje W. Hugo, zawsze będąc dokładnym. Wszystkie te rękopisy były przesłane do drukarni, dano według nich tomy. Nazwiska niektórych zecerów znajdują się tam nakreślone ołówkiem np. *Suidey*. W. Hugo pisze niekiedy — rzecz osobliwa — na pierwszym lepszym papierze, co mu wpadnie w rękę, np. Ernest Fouinet, orientalista, przysłała mu notaty o wschodzie, do: *Les Orientales*. Na tymże samym liście W. Hugo szkicuje *les Fêtes de Sérail*. Markiz du Vidal de Montferrier (spokrewniony z rodziną Hugo'ów) rozsyła listy z zawiadomieniem, że córka jego wychodzi za wicehrabiego Abła Hugo; W. Hugo pisze na liście tym wiersze. Są ustępy z *les Feuilles d'automne* na zaproszeniach obiadowych, z podpisem Antony, lub Emil Deschamps.

Jakież to godziny zajmujące, gorączkowe, błogie, spędzałoby się w atmosferze tej świetnej przeszłości! Każda kartka jest wspomnieniem i chwałą. Byłem jak upojony dotykając tych ówiartek. Wszystkie manuskryta W. Hugo przechowane są prócz *Han d'Islande*, który zginął i *Amy Robsart*, który został zniszczony. *Amy Robsart*, pierwsza sztuka W. Hugo, zawierała jednak przepyszny koniec, piękniejszy niż w romansie *Kenilworth*, z którego dramat został przero-

biony. W. Hugo prosił swego szwagra Pawła Foucher, by się podpisał pod tą próbą i dopiero nazajutrz wyjawiał swoje nazwisko drukiem w tych słowach. „To co wczoraj wygwizdano, jest moje!”

Wszystkie te manuskryta przekazane będą Bibliotece narodowej.

*Hauteville House*, gdzie nieśmiertelne te ówiartki spoczywały tak długo, jestto Ferney W. Hugo; a poeta *des Quatre vents de l'esprit*, który przewodniczył na obchodzie stuletnim Woltera, będzie miał w naszym stuleciu tę samą chwałę, tenże sam los, co autor: *Candide'a* w wieku XVIII. Za życia postawiony mieć będzie pomnik. Jak Wolter na przedstawieniu *Ireny*, on także był wieńczony, tylko nie padł ofiarą tej chwili. Chwała jego, to Woltera chwała, pomnożona wszystkimi realnymi siłami XIX wieku.

Alboż on sam nie powiedział nam pewnego wieczoru:

— W dobrą porę urodziłem się dla mej chwały; stoję na przelomie dwóch wieków.

— Kiedym był parem Francyi, dodał i zasiadałem w lewicy z Montalembertem, Wagram, Eckmühl, Boissy i d'Alton-Shée, miałem na prawo żołnierza, który był marszałkiem Francyi we dwa lata po mem urodzeniu i który, gdym przybywał do Luxemburga, mawiał: „*Młodzieńcze, spóznites się!*” Był to Soult, marszałek z r. 1804. Z lewej strony, rzecz osobliwsza, miałem ożłowieka, który należał do sądu na Ludwika XVI, na dziewięć lat przed mojem przyjściem na świat (Pontécoulant), a naprzeciwko mnie znajdował się ten, co bronił Beaumarchais'go w procesie Goezmana, na 25 lat przed memi narodzinami. Byłto kanclerz Pasquier.

W. Hugo lubi się chlubić w ten sposób, że był świadkiem końca nieistniejącego już świata. Trzeba słyszeć, jak opisuje wtedy to dąsające się towarzystwo, do którego należała jego matka; nie chciała ona uznawać zwycięstw cesarskich, zaprzeczała je, chociaż mąż szedł przelewać krew w tych bitwach. Trzeba słyszeć, jak jednym rysem charakteryzuje tych szlachciców zacofanych, co na wieść o zwycięstwie pod Austerlitz, wzruszając ramionami, mówili z szyderym uśmiechem:

— Mam wiadomości! wicehrabina otrzy

mała list. Cóż to wielkiego? Austerlitz?... Rzecz bez znaczenia! Fraszka! prosta utarozka przedniej straży.

Rozmowy te i wspomnienia tłumaczą zresztą dosadnie i sam geniusz W. Hugo; rozwijanie się jego na muzach hiszpańskich i wzrastanie pośród zajęć i zapalów wojennych, żołnierskich.

Po obrazach obozowych następują wspomnienia literackie; a wtedy poeta odnajduje w pamięci rysy, nazwiska i dzieła tych, co już nie istnieją. Wskrzesza on cały świat: Nodier'a, Chateaubrianda, Lamennais'go, Rabbe'a, Béranger'a, Teofila Gautier młodszego, Ludwika Boulanger, Charlet'a, Gérard'a de Nerval; polityków z lat 1830 i 1848, 2-gi grudnia, wygnanie, powrót, pierwsze wieczory podczas oblężenia, w pałacyku przy ulicy de Navarin, przyjęcia w pałacu pawilonu de Rohan, Bruksellę, ulicę Clichy, aleję d'Eylau.

Kiedyś, zbierze ktoś pewno „menus propos” W. Hugo, jak Eckermann spisał *Rozmowy* Goethego. Młodzi pisarze: p. Rivet, p. Talmeyr i Barbou zaczęli już dzieło to z powodzeniem, ale nie mogli powiedzieć wszystkiego. Nie znam człowieka z dzisiejszych czasów, kiedy słowa ludzi tak są mało podobne do ich pism, któryby do tego stopnia był identyczny z sobą w rozmowach i w utworach, jak W. Hugo. Wyrażenia jego, przenośnie są jemu tylko właściwe, nawskroś oryginalne. Słyszałem, jak pewnego wieczora, twierdząc, że jest życie wieczne, wykrzyknął zapaloczywie:

— Tak, czuję, że dopiero tam, w górze będę zupełnym! To co później mówić będę, teraz bąkam tylko. Będę w dalszym ciągu żył, wznosząc się coraz wyżej. *Jestem zawiązką archanioła.*

Czy wskażecie mi drugiego z naszych współczesnych, ooby taki okrzyk wydał? Sprebujcie.

Jakaż to będzie książka, jeśli ją kiedy napiszą, w której połączoną zostanie ogromna erudyca poety (zaprzeczana przez niektórych) i oryginalne jego orzeczenia, pomysły, jego idee szerokie, dalekie horyzonty obejmujące. Choć określić sposób mówienia W. Hugo, trzeba powiedzieć chyba, że to jest osobliwa mieszanina dowcipu Rabelais'go i wizyj Dantejskich.

— Prawie nic nie czytam, rzekł kiedyś do nas, prócz książek, do których już nikt nie zagląda, szpargałów starych i niekompletnych. Jedno charakterystyczne dzieło pisarza nowożytnego wystarcza, żebym poznał jego ducha, jak Cuvier z jednej kości odbudował mastodonta.

Zastanów się, czytelniku, nad tem wyznaniem wiary, a zrozumiesz wyjątkową, zdumiewającą erudycję W. Hugo w *l'Homme qui rit*, w *l'Ane* i wieszczce jego odgadywanie człowieka, bądź romansopisarza, bądź poetę.

Zresztą, tych co kocha, na cudze słowa uwielbia. Gustawa Flauberta ubóstwiał, nie przeczytawszy ani jednego wiersza jego pióra. Wystarczała mu rozmowa tego znakomitego pisarza.

— Georges Sand czytałem tylko jedną nowelę, *la Marquise*, bardzo dawno temu, powiedział nam kiedyś.

O człowieku, którego miłuje, W. Hugo powie chętniej: „on jest *dobry*”, aniżeli „on *wielki*”. Dobroć stawiam po nad wszystkim, powtarza nieraz. Ta dobroćliwość patryarchalna nie jest jednak zupełnie wolną od satyry. O tych, co zeń szydzą, zdarza mu się powiedzieć słowo, starczące za artykuł cały. O Thiersie mówił: „To nie jest człowiek wieku, to człowiek chwili.”

Gdy mu ktoś daje do zrozumienia, że się pojawił dotkliwy artykuł w jakim dzienniku, odpowiada z uśmiechem: „Pozwól mi przypuszczać, przez miłość własną, że dziś nie jeden dziennik pastwi się nademną (m'èreinte) jak to mówią; wolę myśleć, że ich jest więcej!”

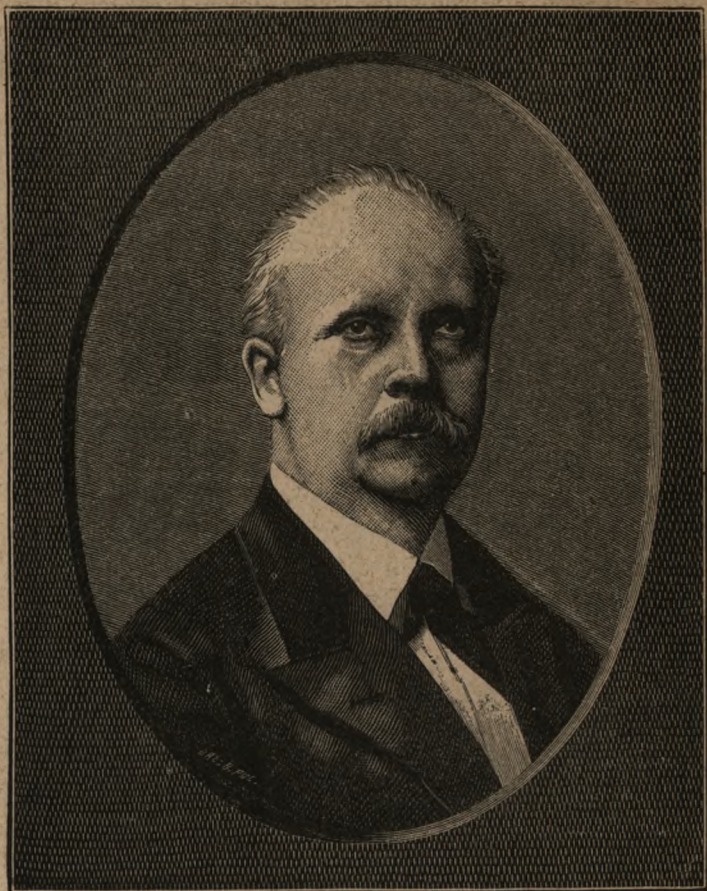
Trzebaby napisać cały tom dla odmalowania W. Hugo jako dziada, ojca, przyjaciela—żeby jeszcze lepiej scharakteryzować jego dobroć obok geniuszu. Wszyscy mu zawdzięczamy jaką radość silną, jakie wzruszenie szlachetne, pamięć czegoś, co wielkością swą podziw w nas zbudziło, lub co nam sprawiło rozkosz. *Tak, dopóki on istnieje*, jak sam powiedział, dopóty geniusz stać będzie na straży Francji.

Niekiedy potrząsa głową, mówiąc o swych przyszłych utworach, które ukończy, *Deo volente!*—jak powiada. Potem z uśmiechem i tym stylem błyskawicznym, obrazowym,

jemu tylko właściwym, dodaje: „Może już czas, żebym przestał zawadzać w tym wieku naszym!

*Zawadzać!* on go zapełnił, zapłodnił; on sprawiał jego łzy, drgania, westchnienia, śpiew; on życie totnął, w ten wiek wielki przez naukę, przez postęp materialny, telegraf, parę, przez ten wynalazek, co nam ży-

cie w dziesięćkroć mnoży, albo je od śmierci zabezpiecza — ale może większy jeszcze, tak większy — przez krzyk, przez westchnienia takiego W. Hugo; które łzę do oczu przywołują, przez odę, tę jego odę nieśmiertelną, hymn rodziny, — który stwarza proroków, kochanków, ojców i bohaterów!



## Herman Ludwik Ferdynand v. Helmholtz.

(z pracy Adolfa Kohuta, przełożył Adolf Dygasłński).

Nauki przyrodnicze w 19 wieku potężnym krokiem posunęły się naprzód; świetne odkrycia i wynalazki, dokonane na tem polu, wskazały wiedzy ludzkiej nowe zupełnie drogi. Do tak znakomitego postępu przyrodoznawstwa przyczynili się i niemieccy myśliciele a badacze, i to w takim stopniu, że praca ich i rezultaty tej pracy w dziejach nauki istotnie epokę stanowią. Jan Müller, Justus v. Liebig, M. J. Schleiden, Ernest Haeckel, Aleksander v. Humboldt, Dubois-Reymond, H. L. F. v. Helmholtz przyczynili

się, każdy w swoim rodzaju, do rozjaśnienia wielu ciemnych punktów w gospodarstwie natury; ich to zasługa, że dzisiaj w dziedzinie nauk ścisłych, w zakresie empirycznego badania przyrody, niemcy, z niemałym dla siebie zaszczytem, mogą zwycięzko współzawodniczyć z najgenialniejszymi ludźmi innych krajów. Otóż w tym poczoście bohaterów nauki, którzy wiedzę naszą na nowe pohnęli tory, którzy śmiało, jak niewielu z żyjących, wdarli się do przybytku tajemnic natury i ztąd wydobyli niezrównane skarby

na pożytek całego cywilizowanego świata, jedno z najpierwszych miejsc zajmnie Herman Ludwik Ferdynand v. Helmholtz. Niezwykle rezultaty jego pracy, zwłaszcza w dziedzinie fizjologii i fizyki, jasnym blaskiem otoczyły imię Helmholtza, i nie od jednego już lat dziesiątka błyszczy ono na firmamencie przyrodniczej wiedzy jako gwiazda pierwszej wielkości. Z prawdziwą też przyjemnością podejmując to zadanie opowiedzenia pokrótce czynów znakomitego myśliciela, dokonanych na niwie nauki, wykażemy, jak niespożyta jest zasługa, zdobyta przezeń w rozmaitych gałęziach przyrodoznawstwa.

Życie naszego uczonego było w ogóle na zewnątrz nie bardzo ruchliwe; wolne od burz, których mu los oszczędził, złożyło się to życie w całość, nieobfitą w dramatyczne momenty. Od lat najwcześniejszych dzieciństwa było ono nawskroś wewnętrznem,— było to życie niemieckiego myśliciela, znajdującego w badaniu, w studiach najwyższe zadowolenie i błogi wewnętrzny spokój. Helmholtz urodził się 31 sierpnia 1821 r. w Poznaniu, gdzie ojciec jego był nauczycielem gimnazjalnym. Niezwykle zdolne dziecko wychowywano jak najstaranniej; urozony ojciec sam czuwał pilnie i kierował pracą syna. Po ukończeniu przygotowawczego kursu nauk w gimnazjum pozdamskiem i złożeniu w r. 1838 egzaminu dojrzałości, wszedł Helmholtz do instytutu Fryderyka Wilhelma w Berlinie, by poświęcić się zawodowi lekarskiemu. Ciężką wewnętrzną walkę przeżył młody człowiek, zanim przemógł na sobie, aby wybrać medycynę — dla chleba. Jeszcze jako uczeń pozdamskiego gimnazjum, zarówno w szkole jak za szkołą z szczególnem zamiłowaniem, z prawdziwą namietnością pracował nad naukami przyrodniczymi a byłby się im oddał całą duszą i na uniwersytecie, gdyby nie ta oto okoliczność, że na owe czasy jeszcze wiedza przyrodnicza nie dawała chleba. Ponieważ ojciec naszego Helmholtza nie opływał w dostatki, nie było więc innej rady, jak poskromiwszy młode porywy i chęci, chwycić się studiów lekarskich, do których mu wstęp otwierano bezpłatnie. Do jesieni 1842 roku zostawał Helmholtz w instytucie Fryderyka-Wilhelma i tam pozyskał stopień doktora, po zło-

zeniu zaś egzaminu, tak zwanego „państwowego” (Staatsexamen), służył naprzód jako lekarz-asystent przez rok jeden w Berlińskiej Charité a potem aż do jesieni 1848 roku jako lekarz wojskowy w pułku huzarów gwardyi i w korpusie gwardyi w Poznaniu. W taki sposób spłaciwszy państwu zaciągnięty względem niego dług obowiązkowej służby, — państwo bowiem, jak wiadomo, udziela wychowawcom instytutu Fryderyka-Wilhelma nauki bezpłatnie, — mógł teraz Helmholtz iść za głosem wewnętrznym i z tym większym zapalem rzucił się do studiów nad fizjologią oraz fizyką. W jesieni 1848 r., otrzymał on miejsce w muzeum anatomicznem w Berlinie i zarazem, w charakterze nauczyciela, wykładał anatomię adeptom sztuki. Niepoślednie prace jego z dziedziny nauk przyrodniczych, które już tymczasem były wyszły na widok publiczny, zwróciły szczególną uwagę rządu na młodego badacza i oto w połowie lata r. 1879 otrzymuje on wezwanie na profesora nadzwyczajnego do Królewca na katedrę patologii ogólnej i fizjologii, a już w r. 1852, licząc zaledwie 31 lat życia, zostaje tam profesorem zwyczajnym. W Królewcu młody profesor urządza sobie własny kącik u zacisznego domowego ogniska. Poznawszy niejaką pannę Olgę v. Velten, osobę *bogatą wdziękiem* i wysoko wykształconą, żeni się z nią niebawem. Rodzina, z której pochodziła młoda pani v. Helmholtz, należała do starszych na Szląsku. Pradziad jej, wachmistrz huzarów, w jednej bitwie, rąbiąc zawzięcie, z narażeniem własnego życia wy dobył z niebezpieczeństwa Fryderyka Wielkiego, za co go król dziedzicznym szlacheństwem obdarzył; ojciec żony Helmholtza był lekarzem pułkowym. Przez wzgląd na zdrowie żony, która surowego królewieckiego klimatu znosić nie mogła, pozostawał Helmholtz w Królewcu tylko do jesieni 1855 r. i podążył stąd do Bonn, dokąd go wzywał uniwersytet na profesora zwyczajnego anatomii i fizjologii. Ale i tu pobyt jego nie potrwał długo. Po trzech już latach widzimy go opuszczającego miłe nadreńskie miasto, widownię krótkotrwałej, lecz wielce pożytecznej jego działalności, gdzie w garnącą się zewsząd do niego młodzież umiał tchnąć zapal i ochotę gorącą do pracy około nauki. Opuszczenie tak prędkie

wszechnicy w Bonn spowodowane było niepowodzeniem, jakiego Helmholtz doznał w staraniach około założenia instytutu fizyologicznego. W jesieni więc 1858 r. przesiedlił się nasz profesor z rodziną do Heidelbergu, gdzie za jego sprawą stanął właśnie ów instytut dla fizjologii i fizyki, tak zwany „Friedrichsbau.” W Heidelbergu wykładał on wyłącznie fizjologię, a sława genialnego przyrodnika była już tak ustaloną, iż pruskie ministerium oświaty nie poskąpiło zachodu, żeby pozyskać taką znakomitość dla stolicy cesarstwa.

Wyżej już wspomnieliśmy, że tylko okoliczności zewnętrzne i twarda konieczność zmusiły były w swoim czasie Helmholtza do oddania się medycynie; bez najmniejszego też wahania się przyjął on na wielkanoc 1871 r. ofiarowaną sobie z Berlina posadę profesora zwyczajnego fizyki, miał bowiem w tamtejszym uniwersytecie wykładać wyłącznie fizykę. Od lat 13 u tedy Helmholtz czynnym jest w Berlinie, gdzie za jego sprawą wzniesiony został instytut fizyczny; głosi on odtąd prawdy nauki zarówno żywym słowem, z katedry lub w odczytach popularnych, które miewa w stolicy i w innych miastach niemieckich, jak i w dziełach, ogłaszanych drukiem. Zwłaszcza te ostatnie szczególnej są wagi; w sposób ściśle naukowy, a przecież jasno i przystępnie umie to Helmholtz przedstawiać rezultaty gruntownego badania i prawdziwie genialnej obserwacji. Dla uzupełnienia tego biograficznego szkicu wspomniemy tu jeszcze, że pierwszą żonę Helmholtz stracił w r. 1859 w Heidelbergu; zostawiła mu ona syna Ryszarda, obecnie mechanika w fabryce machin w Monachium, i jedną córkę, która w młodym wieku wydana za mąż, wkrótce potem umarła, zostawiając głowie rodziny wnuczka. Druga żona Helmholtza, z którą pożyłcie jego jest również jak najszczęśliwsze, jest z domu Anna v. Mohl, córka sławnego profesora prawa państwowego, Roberta v. Mohl, w Heidelbergu. Z tą Helmholtz ma dwóch synów i jedną córkę. Nie będzie może bez interesu dla naszego czytelnika i ten jeszcze szczegół, że babka Helmholtza po ojcu była z domu Sauvage i pochodziła z gminy emigrantów francuzkich, w Prenzlau osiadłej, a dziad jego po matce był oficerem angielskim

skim z stronnictwa jakobitów, nazwiskiem Penne. Pomimo to wszystko, jak sam Helmholtz, tak i nazwisko jego jest rdzennie niemieckie i do tego stare a w marchii brandenburskiej dosyć jest używane; w dawniejszych czasach z imionami Helmbold i Helmholtz spotykamy się często i ztąd zapewne powstało później nazwisko Helmholtz.

Helmholtz należy do tych nielicznych a wielkich przyrodników czasów obecnych, którzy zrobili przewrót i wywarli wpływ stanowiący epokę na bardzo rozmaitych niwach nauki. Jest to uniwersalny umysł, u którego talent twórczości i mistrzostwo w zakresie eksperymentu idą ręką w rękę z głęboką filozoficzną znajomością natury rzeczy i z zupełnym opanowaniem wszystkich matematycznych kwestyj. Ztąd poszło, że mąż ten założył podstawy w dziedzinie różnych działów przyrodznawstwa i wystąpił jako naukowy reformator. Na polu fizjologii założył on podwalinę o wiele filozoficzniejszą i głębszą, aniżeli ktokolwiekbądź z jego poprzedników; on także nadał większą fundamentalność prawu zachowania siły; on zastosował matematykę i mechanikę w zakresie elektryczności, akustyki oraz światła w tak znacznym stopniu, iż na te pola rzucił zupełnie nowe światło; on wynalazł dowcipne przyrządy dla naukowych celów fizjologii i fizyki, a z pomocą swych przyrządów wykonał doświadczenia znakomite, które roztwarły nowe widnokreśli dla empirycznego badania i dla nauk przyrodniczych; w ogóle odznaczył się niemniej jako bystry i subtelny badacz na polu zjawisk dźwięku, barwy oraz światła; ostatecznie zaś udało się jemu to, jako istotnemu mistrzowi popularyzacji, to jest wykładów jasnych i zrozumiałych, zainteresować naukami przyrodnictwem szeroką publiczność a wiedzę o przyrodzie rozpowszechnić w tych także kołach, gdzie ona dotąd nie miała zwolenników.

Po tej ogólnej charakterystyce, rzucającej światło na płodną działalność naszego uczonego, musimy przedewszystkiem zauważyć, iż Helmholtz wsparł na gruntowniejszej podstawie prawo zachowania siły. W sławnej swojej rozprawie „O zachowaniu siły” (Berlin, 1847) obronił świetnie tezę, iż wszystkie procesa w przyrodzie posłuszne są pra-

wom mechaniki. Od jednego razu skierowała się uwaga fizyków i chemików na tę nową, filozoficzną a pełną powszechnego interesu teorię; wszyscy też usiłowali owo prawo przyrody sprawdzić drogą doświadczeń. W przytoczonej powyżej pracy młody badacz wyklada, że wszystkie procesa fizyczne, będące w gruncie rzeczy procesami ruchowymi, podlegają prawom mechaniki i według praw takich muszą być objaśniane. Jasne zestawienie przyczyn i skutków stanowi dla niego linię wytyczną, aby wykazać metamorfozę siły.

Rzecz prosta, iż całkowite teoretyczne udowodnienie prawa o zachowaniu siły już przez to samo natrafia na jak największe trudności, ponieważ zagnani jesteśmy w sferę czasowych hipotez o świetle, cieple, elektryczności i t. d., od których wychodząc, mamy okazać, iż jedna siła tak się przekształca w drugą, że ona sobie pod względem wielkości pozostaje równą.

Jest atoli widocznem, że będzie się musiał zmienić nasz pogląd na związek sił przyrody, jak tylko zajdzie zmiana w hipotezach owych, spowodowanych nieuchronnie przez rozwojowy pochód umiejętności. Prawo zachowania siły nic innego nie opiewa, jedno, że wielkość przyczyny wyrównywa zawsze wielkości skutku; przytem trzeba pamiętać, że pojęcie przyczyny powinno być brane w znaczeniu filozoficznem, to jest, iż obejmuje ono powód i warunki tego, co się stało, — że więc mamy tutaj do czynienia z tem, przez co jest zawarunkowane stawanie się w swojej całości. Odnośnie do wielu zjawisk elektryczności i ciepła Helmholtz wykazał z wielkiem powodzeniem ów przyczynowy związek na podstawie obecnych naszych hipotez. Winniśmy zwrócić tu uwagę czytelnika, iż ciepło, światło, elektryczność a także magnetyzm nie uważają się już, jak niegdyś, za nieważkie *fluida* (imponderabilia); ale są to ruchowe stany pewnego medium, eteru, wypełniającego przestrzeń świata. Śmiało badania nad zachowaniem siły pobudziły Helmholtza wcześniej już do rozwiązywania zasadniczych zagadnień we fizyologii. On to więc pierwszy wymierzał szybkość nerwowych prądów, potem gdy już Dubois-Reymond wymierzał był ich siłę. Owe pomiary prędkości nerwo-

wych prądów odbywał Helmholtz najprzód na nodze żaby i wtedy wypadło mu coś trzydzięści metrów na sekundę. W następstwie atoli wymierzał szybkość taką w nerwach ludzkich, a niespodziewany rezultat mierzenia wprowadził w niemały podziw cały świat naukowy. Spodziewano się bowiem, że przeniesienie obwodowego pobudzenia do systemu nerwowego centralnego, jak to ma miejsce przy spostrzeżeniach zmysłowych, odbywa się lotem błyskawicy; tymczasem pomiary zyskały tutaj zaledwie kilka metrów na sekundę. Wynalezienie przyrządów potrzebnych do takich badań, przynosi wysoki zaszczyt wielkiemu badaczowi.

W następnych latach fizjologia zmysłów zajęła wyłącznie Helmholtza. Najpiękniejszym owocem badania nad wzrokiem, był sławny wynalazek oftalmoskopu, który przedstawił on bardzo dokładnie w pracy swojej: „Opis oftalmoskopu, służącego do badania siatkówki w żywym oku” (Berlin 1851). Na raz imię wielkiego fizjologa stało się jednym z najpopularniejszych w całym Niemczech. Z pomocą tego narzędzia możliwem jest rozpoznawanie różnych zakłóceń i zanieczyszczeń medyków, światła załamujących, w oku pacjenta; przytem przez zastosowanie niebieskiego światła można wywołać w oku zjawiska fosforesencji, które pozwalają wnosić o rodzaju cierpienia oczu. W oftalmologii oftalmoskop zrobił prawdziwą rewolucję. Helmholtz wykazał również, że zwykła czarność źrenicy polega najgłówniej na przyczynach optycznych, o ile, według praw prawidłowego łamania się światła, z wnętrza oka powracające światło musi odbywać tę samą drogę, po której przybyło. Gdy więc źrenica spostrzegacza przy zwykłych warunkach wysła niewiele światła, więc też z wnętrza innego oka powraca do niej również niewiele światła. Spostrzegacz w ciemni cudzego oka widzi tylko odbicie czarności swojej własnej źrenicy. Helmholtz udowodnił nadto, że można widzieć świecenie się cudzej źrenicy, jeżeli się z własnej źrenicy wypuści więcej światła. Oftalmoskopowi należy to przyznać, że sztuka leczenia oczu znajduje się w obecności na umiejętnej podstawie wsparta. A tak, uczony nasz badacz stał się dobroczyńcą niezliczonej liczby chorych

na oczy, którzy mu zawdzięczają już to zachowanie swojego wzroku, już znowu wybawienie z długich ciężkich cierpień.

Wkrótce potem udało się Helmholtzowi odpowiedzieć na nadzwyczajnie ważne fizyologiczne pytanie, którem od czasów Keplera zajmowali się najsłynniejsi fizycy oraz fizyologowie. Odkrył on mianowicie powód przystosowania się oka do blizkich i odległych przedmiotów przy rozmaitych krzywiznach, jakie przybiera soczewka wobec różnie odległych przedmiotów. Przy patrzeniu na przedmioty blizkie występuje wzmożona krzywizna wklęsłej samej przez się soczewki, a przez to przybliża się do soczewki ognisko i z niem obraz widzenia, dla siatkówki przeznaczony: w ten sposób obraz ów pada na siatkówkę, podczas gdy bez rzeczowego przystosowania się znalazłby on się po za siatkówką. W czasie patrzenia na przedmioty odległe, na mocy regulowania położenia obrazu siatkówki, zachodzi proces odwrotny, a przez to przy pomniejszej krzywiznie soczewki obraz siatkówki, któryby w innym razie znalazł się przed siatkówką, teraz właśnie na nią pada.

Co się tyczy teorii barw zbliża się Helmholtz do hipotezy Tomasza Youngschena, podług której spostrzeżenie barwy w ogóle daje się sprowadzić do odczuwania trzech barw zasadniczych oraz ich mieszaniny. Hipotezę ową rozszerzył on wskutek nowych doświadczeń i przez ukazanie na liczne, dotąd niezauważone zjawiska, jako też przez objaśnienie częściowej ślepoty barw. Naprzód przyjął Helmholtz barwę czerwoną, żółtą i niebieską, jako zasadnicze spostrzeżenia barwy, kierując się doświadczeniem, że w skutek mieszania cząsteczek żółtych oraz niebieskich powstaje barwa zielona, fioletowa zaś—w skutek pomieszania cząsteczek czerwonych i niebieskich. Później atoli uważał za właściwe hipotezę tę porzucić, gdy się przekonał, iż barwy powstałe ze zmieszania materiałów barwnych, niezupełnie zgadzają się z barwami, powstającymi wskutek pomieszania jednego światła barwnego z innym takimże światłem. Te ostatnie mieszaniny powstają, jeżeli się białą powierzchnię oświeca jednocześnie różnokolorowem światłem. Na takiej drodze przekonał on się, że światło niebieskie, po-

mieszane z żółtem, nie wyda zielonego, jak się spodziewać należało, ale raczej—światło białawe, w którym tylko odcień zieloności się znajduje. Doświadczenia tego rodzaju zdecydowały, że Helmholtz zamiast wspomnianych trzech zasadniczych spostrzeżeń barwy: czerwonego, żółtego i niebieskiego, uważał za zasadnicze: czerwone, zielone i fioletowe; z tych wyprowadził powstanie żółtych oraz niebieskich. Co się tyczy barwy mieszanin, które powstają z różnobarwnych cząsteczek barwnikowych, Helmholtz postawił teorię, że barwa ta nie jest rezultatem światła odbitego, lecz przepuszczonego; nadto przypuszcza on, iż cząsteczki barwne w subtelnej rozdzielności są przezroczyste. A tak zielony efekt, który wydaje mieszanina barwnikowych cząsteczek zielonych i niebieskich, powstaje podług niego w ten sposób, że żółte i niebieskie cząsteczki, zachowując ową przezroczystość, przepuszczają światło zielone, podczas gdy nie dopuszczają przejścia promieniom innej barwy, usiłującym wydobyć się z mieszaniny. Dr Eug. Dreher zwałoza po części tę hipotezę, przyjmując barwy: czerwoną, żółtą i niebieską jako zasadnicze spostrzeżenia barwy, oraz wyprowadzając z nich teoretycznie i eksperymentalnie inne pozostałe spostrzeżenia barwy.

Pomimo wszystkich genialnych usiłowań nie daje się tu zaprzeczyć, iż zagadnienie spostrzegania barwy, co się tyczy stanowczego rozwiązania, pozostawia wiele jeszcze do życzenia i że nie jesteśmy w stanie bynajmniej wyświecić, jak z danej mieszaniny niewielu barw zasadniczych powstaje biel bezbarwna; na tę mianowicie okoliczność bardzo właściwie ukazuje już Goethe w swojej, chybionej zresztą pod względem teoretycznym, nauce o barwach. Nadto jeszcze, częściowa ślepotą na punkcie barw przedstawia znaczne trudności, aby ją można było sprowadzić do braku pewnych zasadniczych spostrzeżeń barwy. Atoli i naukę o przestrzennym wyobrażeniu za pomocą wzroku, a z nią i całą psycho-fizyologię zapłodnił Helmholtz nowymi a twórczymi pojęciami. Matematyczna i filozoficzna wiedza umożliwiła mu to, iż otwarł pod wielu względami rozległe widnokręgi. Z równem też powodzeniem i zamidowaniem uprawiał on pole badań ze ste-

reoskopem, któremu nadał nowe zastosowanie; a jednocześnie nie zanieczywał istoty psycho-ptycznych złudzeń, które powstają w skutek tego, że czynniki duchowe wdierają się w zmysłowe spostrzeganie i przemieniają je one na wtórne.

Filozoficzny rezultat, do którego tu Helmholtz doszedł w swoich badaniach, jest taki:

1. Czuciowe wrażenia światła, barwy i ciepła, są to wykładniki, znaki lub symbole świata zewnętrznego.

2. Tylko stosunki czasu, przestrzeni, różności i z nich wyprowadzone stosunki liczby, wielkości, prawidłowości, — krótko mówiąc—matematyka świata zewnętrznego i wewnętrznego są sobie wspólne i w nich rzeczywistość może być osiągniętą zupełną zgodność wyobrażeń z rzeczami odzwierciedlonemi. Tutaj zajmuje Helmholtz stanowisko przeciwnie Kantowi, twierdząc, że *przestrzeń i czas* są właściwościami „rzeczy w sobie” (świata zewnętrznego); podczas gdy Kant, co najwyżej, mógłby się zgodzić, iż nasze formy wyobrażenia przestrzeni i czasu mogą być symbolami rzeczy samej w sobie.

3. Nieświadomy duchowy czynnik, który pierwotne spostrzeżenia zmysłowe zamienia na wtórne w drodze nieświadomych sądów i wniosków, w rzeczywistości nie jest nieświadomym, jak to się wielu zdaje; on tylko przedstawia się nieświadomym, ponieważ wnioski oraz sądy w skutek wielostronnego powtarzania odbywają się z taką szybkością, że naszemu *ja* musi się wydawać, iż one się odbywają bez jego udziału.

Nie potrzeba tu już bliższego dowodzenia, że Helmholtz przez spekulację tego rodzaju wywarł nadzwyczajnie ożywiający wpływ na psychologię, a zarazem na całą filozofię. Ten utalentowany i śmiały badacz jest jednym z założycieli i głównych przedstawicieli psycho-fizjologii, to jest umiejętności, która zdąża w drodze nauki do połączenia świata materji ze światem ducha. W tych jego rezultatach badań spotyka się niejednokrotnie fizjolog i fizyk z uczniem Kanta, Fries'a, którego klasyczna *psychologia* jeszcze dzisiaj na wielką uwagę zasługuje; należy wszakże zauważyć, iż Fries uważa nieświadomość jako charakterystyczną zasadę duszy, a w takim samym zna-

czeniu traktuje ją Rüte oraz inni nowożytni badacze. Wydaje się tu jakoby przez psycho-fizjologię starożytna przyjaźń przyrodoznawstwa z filozofią na nowo odżyła; a dobrze się stało, bo przyjaźń owa w pierwszej połowie naszego wieku bardzo zachwiana została przez awanturniczą filozofię przyrody Schellinga i Hegla.

Wszystkie optyczno-fizjologiczne badania swoje złożył Helmholtz w licznych dziełach, z których chcemy tu parę tylko wymienić:

„Theorie d. zusammengesetzten Farben” (Königsberg 1852). „Ueber das Sehen d. Menschen” (Leipzig 1855); „Handbuch d. psychologischen Optik” (Leipzig 1855 — 1866), oraz wiele rozpraw w „rocznikach Poggendorfa,” których redakcyę po śmierci Poggendorfa prowadzi wspólnie z Wiedemannem. Inne znowu rozprawy pomieszczał w „Encyklopedji fizyki” jakoteż w „sprawozdaniach berlińskiej akademii” i t. d.

Nauka o słuchu (akustyka) zawdzięcza dzisiejszą swoją postać także znakomitej działalności owego wielostronnego a wielkiego zawsze badacza. Na tem polu nikt go nie przewyższył ani się z nim zrównał, a wielkie jego reformatorskie znaczenie nigdy nie będzie miało za dużo uznania. Wykazał on eksperymentalnie i teoretycznie, że barwa dźwięku instrumentu polega na współ-brzmieniu dźwięków pobocznych, które mniej lub więcej zgadzają się z tonem głównym, tworzą z nim rodzaj akordu, gdzie silny ton główny przeważa; dawniej zaś chciano widzieć w barwie dźwięku coś specyficznego. Owe poboczne dźwięki powstają w skutek tego, że żadne ciało nie drga jako całość tylko, ale zawsze jednocześnie z jego drganiem pojedyncze części wykonywają własne drgania. Te ostatnie właśnie Helmholtz zrobił przedmiotem swoich znakomych reformatorskich badań, jako też podciągnął on tutaj fale powietrza, w skutek tego powstające. Formy powietrza zgęszczonego i rozcieńczonego przyrównywa on do falistych krzywych, gdy idzie o możność przedstawienia rzeczy. W rozgałęzieniach nerwu słuchowego rozpoznaje Helmholtz, zgodnie z prawem Jana Müllera o specyficznej energii zmysłów, owe zakończenia nerwowe, za pomocą których dźwięki o da-

nej liczbie drgań przesłane zostają do psychicznego organizmu. W sposób nader zajmujący porównywa on te elementa nerwowe ze strunami fortepianu; a podług bystrej jego hipotezy wypada, że rozgałęzienia słuchowego nerwu oddziaływają analitycznie na szmery oraz inne złożone drgania dźwiękowe.

Z pomiędzy innych odkryć epokowych na polu fizyologicznej akustyki godne jest jeszcze wspomnienia odkrycie, że liczby drgań dźwiękowych dwóch fal głosu dodają się do siebie i wytwarzają się ztąd nowe rodzaje tonów.

Następnie wielki fizyolog, który rozjaśnił tak bardzo dziedzinę światła, barwy i dźwięku, dał też rzeczywiście filozoficzny fundament nauce o harmonii, ponieważ bystrzej i dokładniej, niż ktokolwiek inny, wniknął w powstawanie harmonii i dysharmonii; tu wykazało się, że nieprzyjemne działanie dysonansu wynika ztąd, iż ucho wskutek zbiegu i zderzenia się dźwięków musi znieść wiele przerw w stosunkowo krótkim czasie.

Następnie przeniósł też Helmholtz działalność swoją w dziedzinę mowy ludzkiej i tutaj poczynił wielce ciekawe odkrycia na polu samogłosek oraz spółgłosek. W sławnem, wielokrotnie wydawanem dziele „Nauka wrażeń dźwiękowych” (Braunschw. 1862), przedstawił on w jednym związku wszystkie badania swoje akustyczne. Ta książka stanowi najznakomitsze zjawisko w zakresie dzisiejszej akustyki; jest to najświetniejsza praca, na jaką mógł się kiedykolwiek zdobyć umysł człowieka.

Zresztą, każdemu wiadomo, iż dla wielkiego uczonego wcale nie była obcą anatomia, którą on łącznie z fizyologią przez znaczny szereg lat wykładał i którą także wzbogacił odkryciami godnymi uwagi. On bowiem był jeden z pierwszych, co zauważyli związek włókien nerwowych z nerwami komórkami (stanowi to anatomiczną podwalinę pojęcia o życiu nerwów). Niemniej mechanika mięśni ma mu niejedno do zawdzięczenia, a odnośne na tem polu prace złożone zostały w Müllera „Archiv”, w „Sprawozdaniach berlińskiej akademii”, w „Rocznikach Poggendorfa” i w licznych jego samego pismach. Zasługi w zakresie anatomii godne są stanąć obok zasług w fizyce

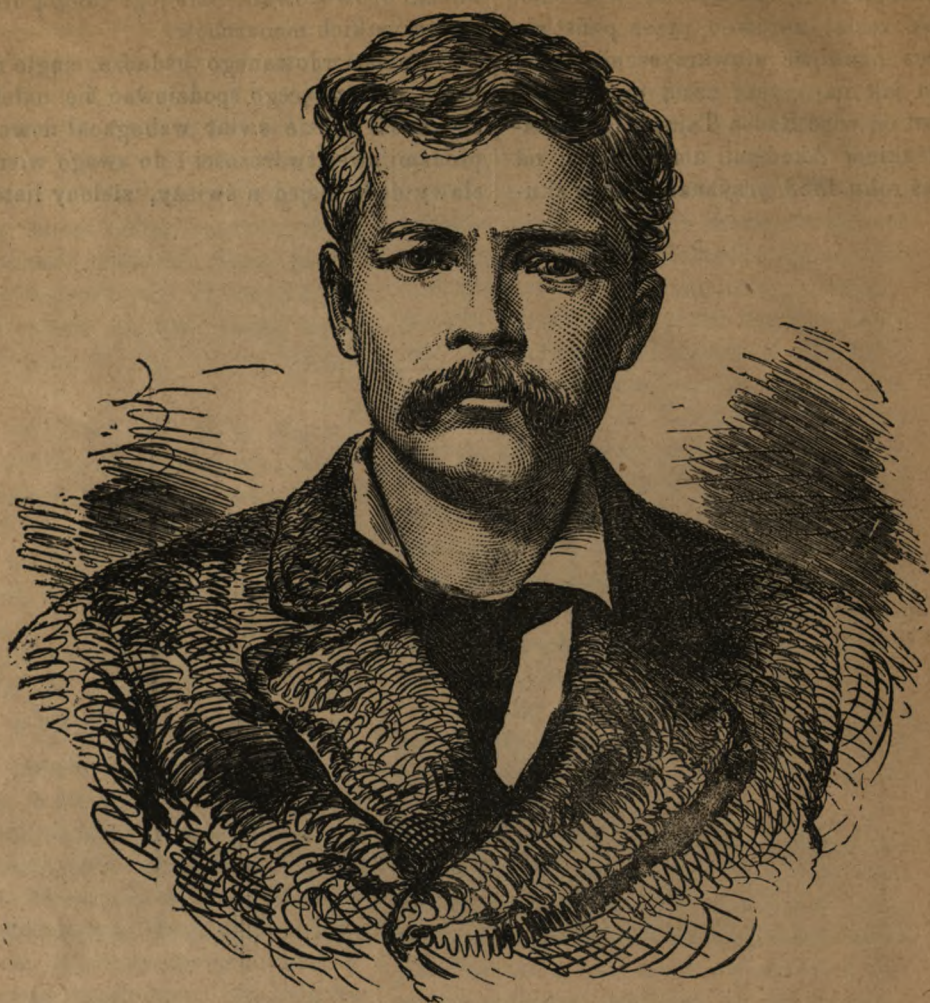
i fizyologii. W licznych ściśle naukowych i popularnych pracach, które maż ten publikował, występuje on zawsze jako mistrz stylu. Jego sposób pisania jest prosty, jasny i łatwy do pojęcia, a przecież nie robi to nigdy uszczerbku powadze i duchowi umiejętności. Zna on wpływ, jaki bohaterowie niemieckiej poezji wywarli na umysłowy rozwój swego narodu, zwłaszcza też książę poetów, Goethe; to też Helmholtz nie zaniedbuje nigdy sposobności, jeżeli chodzi o stosowne przytoczenie niemieckich klasyków i czyni on to z niezmierną zręcznością, mianowicie odnośnie do Goethego. Po za tem wszystkim, że pisma jego są bogate w myśli i wykończone co do formy, pobudzają one czytelnika nietylko na punkcie fizyologii oraz fizyki, ale znajduje się tam dużo cennych uwag o sztuce, zwłaszcza o malarstwie i muzyce. Wielki badacz przedstawia się na tych niwach jako nadzwyczajnie subtelny estetyk, wydający zawsze trafne sądy i to nietylko jako naukowy teoretyk, ale jako biegły rzeczoznawca. Nie dziw więc, iż psychologiczna estetyka znajduje w nim również swoje poparcie.

Naukę wieku, Darwinizm przyjął on skwapliwie i pokazał, że gotów jest służyć każdej nowej idei, która rozтворя przed nauką szerokie pola. Tak oryginalny umysł jak Helmholtz, nie może się obyć bez wywarcia potężnego wpływu; to też dokonał tego swojemi badaniami i znakomitemi dziełami; był on nauczycielem najlepszych umysłów swego narodu, a światłe jego naukowe wykłady rozpałiły wśród setek i tysięcy uczniów miłość i żądzę wiedzy przyrodoznawczej. Żeby atoli wytworzył szkołę we właściwym znaczeniu tego słowa, twierdzić nie można; albowiem rzeczywiste kombinacje i inspiracje Helmholtza polegają na tem tylko, iż umie on różne gałęzie wiedzy genialnie połączyć, czego dokonywa w skutek swojej wielostronności. To wszakże pewna, że fizyka nowożytna buduje i idzie dalej na podstawie badań Helmholtzowskich; a zarówno Niemcy, jako też obcy przyrodniocy mogą jedynie wtedy działać z powodzeniem, jeżeli pójda po śmiałych i bezpiecznych drogach, jakie im mistrz ten wytknął w dziedzinie fizyologii oraz fizyki.

Nie godzi się chyba i o tem przemilczeć, że genialny a zasłużony wielce mąż, który nigdy nie zdązał do zaszczytów, wyróżniony jednak został zarówno przez państwo, jak i przez naukowe stowarzyszenia i otoczono go jak najwyższą czcią oraz uznaniem. Jest on więc Radcą Tajnym (Geheimrat), członkiem Akademii umiejętności; od lutego zaś roku 1883, przyznano mu w sku-

tek nieśmiertelnych, zasług godność dziedzicznego szlachectwa, co sam cesarz niemiecki spowodował. Pierś jego zdobiją ordeiry wszystkich monarchów.

Od niezmordowanego badacza, ciągle naprzód zmierzającego spodziewać się należy, że i nadal będzie świat wzbogacał nowemi płodami swej twórczości i do swego wieńca sławy doda niejeden świeży, zielony listek.



Henry Moryland Stanley.

W połowie 1866 roku, rozeszła się po Europie smutna pogłoska o zamordowaniu znakomitego afrykańskiego podróżnika Livingstona, przez drapieżne i dzikie plemiona Masitosów. Czarni tragarze i arabscy przewodnicy, którzy towarzyszyli mu w głąb lądu, powrócili z nad jeziora Nyassy do Zanzibaru, opowiadając niestworzone bajdy o losie swego pana. Przesada kazała wątpić w prawdziwość ich słów i opinia publiczna w Anglii głośno się dopominać zaczęła o zarządzenie specjalnej wyprawy, któraby dotarła na miejsce i zbadała istotny stan

rzeczy. Towarzystwo geograficzne w Londynie powierzyło ekspedycję w tym celu przyjacielowi Livingstone'a—E.D. Youngowi, który upewniwszy się o kłamliwości pogłoski, tą samą drogą przez Zanzibar do Europy powrócił. Atoli nie sami Anglicy i nie sam Young zajmowali się losami Livingstona. Po drugiej stronie Atlantyku, zagadka dotycząca znakomitego podróżnika zajmowała żywo umysły ogółu, a więc i dziennikarstwo; a że w kraju tym wielkie i bogate dzienniki starając się każdą zajmującą i efektowną kwestyę w sposób pożyteczny

i oryginalny rozwi ad, przeto James Gordon Benet, wlaściciel i redaktor New-York Herald, skoro w ci agu trzech lat nast epnych, znowu nie bylo wiadomościod Liwingstona, powzi al mysl wyslania specjalnej wyprawy, celem odszukania takowego. Wyprawie jednak trzeba bylo naznaczy c naczelnika i wyb or padl na mlodego „reportera” Henryka Stanleya. Nie byl to ju z nowicyusz w rzemiole podr ozniczem. Jeszcze w 1868 r. podczas wyprawy angielskiej do Abisynii, znajdowal si e on w gl ownym sztabie jako korespondent swej gazety i w tym charakterze towarzyszył r ownie z wojskom angielskim w ekspedycyi przeciw Aszantom. To dalo mu doswiadczenie i znajomośc Afryki—reszte miala dokena c smialość i pieniadze dostarczane przez Beneta.

Stanley w Europie rozpatrzył si e w wiadomościodach, jakie ju z po powrocie Younga otrzymywano od Liwingstone'a. Znakomity ten podr oznik trzeci a sw a wypraw e pościwił gl ownie rozstrzygni ciu wa nej kwestyi, co do rozdzialu w d srodkowej Afryki, a mianowicie ochial sprawdzic, jak daleko siega zwi azek trzech wielkich rzek: Nilu, Zambezi i Konga, z jeziorami r ownikowemi. W tym celu, gdy go opuścili wiaro omni tragarze u jeziora Nyassy, Liwingstone z reszt a wyprawy przebył Loangw e i dotarł do rzeki Lualaba, ktor a uwazał za srodkowy bieg pot ejnej, zachodniej rzeki, u ujscia do Atlantyku zwanej Kongo. W ci agu trzech lat dalszych, Liwingston przedarł si e nad brzegi jeziora Tanganyka, zwiedzil jego okolice i tu znaleziony zostal przez Stanleya.

Amerykański reporter, nie spowiadaj c si e w Anglii nikomu ze swych zamiar w, poplyn al do Zanzibaru i dostal si e w marcu 1871 r. do Bagamoyo, gdzie gotowano wypraw e dla podania r eki Liwingstonowi. Karawana musiala si e zatrzymac, gdy z w okolicy panowaly rozruchy, dopiero wiec we wrzesniu, udano si e w dalsz a drog e rzek a Gombe, doplywem Malagarasi wpadajacej do jeziora Tanganyki w poblizu miasta Udzi-dzi. Tu dowiedzial si e Stanley, i z w ziemi Udzi-dzi przebywa m az biały z siwemi w sami, ktor y niedawno powrocił z zachodnio-p olnocnych okolic jeziora. Był to niew tpliwie Liwingstone i latwo pojac niecierpliwosc Stanleya, chcacego si e przekonac

o prawdziwosci swoich domysl w. Zblizaj c si e do miasta, uszykowal on swoj a karawan e i z wielk a okazałośc a srođ huku strzelb, odprawil uroczysty wjazd do Udzi-dzi. Na pierwszym wstepie powital go po angielsku sluga Liwingstona Susi, a pomi edzy tłumem arab w ujrzal nakoniec bialego z siwym w sem podr oznika. Można sobie wyobrazic radość obydw och. Czas jakis po wsp olnem si e poznaniu, odbywali wycieczki w okolice jeziora Tanganyki, a nast epnie wr ociłi do Unyamembe, sk ad Stanley udal si e z powrotem do Zanzibaru, a Liwingstone zorganizowal now a wypraw e w gl ab Afryki, ktor a dosięgłszy jeziora Bengweolo, smutnie si e zakonczyła smierci a podr oznika, zaszł a 4 maja 1873 roku.

Pierwsza ta wyprawa Stanleya byla dlań rodzajem szkoly wyzszej, w jakiej si e przygotowal do odkrycia swej wielkiej, drugiej podr ozy w poprzek Afryki, w ktor ej dokonal zadziwiajacego rozwi azania w tpliwosci co do biegu, dzis tak slawnej rzeki Kongo. Jakkolwiek rzeka Kongo (2900 mil angielskich) znana jest od pi nastego wieku (Portugalczycy), wszelako nawet ujscie jej do Atlantyku, otoczone bylo tajemnic a. Na pocz atku biezacego wieku probowano posunac si e w gl ab kraju t a wielk a artery a wodn a—ale bezskutecznie, gdy z dla statkw w drog e zagradzaly wielkie wodospady i wiry, powstajace z przedzierania si e rzeki przez pasma gorzyste, kt ore i pieszo wsr od pustyń i nieprzyjazni krajowcw w nie dawalo si e przebyc. Wszelkie usilowania dotarcia g rnego biegu Konga, oraz jego zrodel od strony zachodniego wybrze a afrykanskiego, okazaly si e bezplodne i nieprowadzace do rzeczy, jak to podr oze Wladyslawa Magyara, Grandyego, Du Chaillu i innych wykazaly.

Z drugiej strony, podr oze prowadzone od wschodnich wybrze y Afryki do wn etrza, lubo docieraly do Konga, a Liwingstone w ostatniej swej wyprawie natrafil na zrodl a Konga, wszelako nikt nie wykazal jednociagłosci koryta tej rzeki, gdy z podr oznicy jak Kameron znali jej osepici, a nie zbadali calosci. Slawa zbadania biegu Konga nalezy si e Stanleyowi—i dokonane to zostalo w kierunku odwrotnym z poprzedniami, od zrodl a do ujscia, w ci agu drugiej jego w poprzek Afryki podr ozy.

Stanley wyruszył w drogę w połowie sierpnia 1874 roku, a w listopadzie z Zanzibaru zapuścił się w głąb lądu; towarzyszyło mu dwóch żeglarzy szkockich bracia Pochok i Barker, którzy wszyscy w ciągu drogi pomarli. Karawana składała się z czterystu blisko ludzi i prowadziła z sobą łódź składaną „Lady Alice”. W połowie stycznia 1875 r. stanął nasz podróżnik w okolicach jeziora Ukerewe, napastowany ciągle przez choroby i nieprzyjaznych mieszkańców; złożywszy łódź w marcu, rozpoczęto żeglugę po jeziorze, która rozwiązała mnóstwo pierwszorzędných zagadnień we względzie geograficznym. Niestety, chcąc się tu czegoś dowiedzieć, a czasami uratować życie, trzeba było torować sobie drogę z bronią w rękę. Podczas pobytu w Ugandzie, Stanley zmuszony był posiłkować tamtejszego króla Mtesa, co go wikało w liczne walki z okolicznymi plemionami. Z tych przyczyn, podróż do jeziora Msoutan niepowiodła się i trzeba się było udać na wybrzeże Tanganyki do Udżidzi. Żegluga rozpoczęła się w czerwcu 1876 roku i trwała przez pięćdziesiąt jeden dni, stwierdzając, iż poziom jeziora ciągle się wznosi i że nastąpi chwila, gdy Tanganyka za pośrednictwem łożyska Lahugi i Luindi wpadającej do Lualaby, przedrze się kiedyś do Atlantyku. Z Udżidzi, mimo buntu swych ludzi, który trzeba było surowo poskromić, Stanley udał się brzegiem Lualaby do Niangwe; było to w ostatnich dniach października 1876 r. i nasz podróżnik postanowił zbadać Lualabę, do której już poprzednio dotarł Liwingstone. Co to była za rzeka? Szerokość jej nie wynosiła więcej nad 1200 metrów, ale w kwietniu, maju i czerwcu miewa 4000 do 5000 met. Arabowie z Niangwe zapewniali, iż ile tylko znają jej bieg, płynie ku północy; a więc jest li to rzeka systemu Nilu czy należy do Konga? Złączywszy się z wynajętym naczelnikiem arabskim Tippu Tib, posuwano się lesistym, nużącym brzegiem rzeki, tocząc walki z nadbrzeżnymi mieszkańcami, dziesiątkowani ospą i febrą. W grudniu opuszczony od Tippu Tiba, częścią na łodziach (23), częścią pieszo puścił się Stanley sam na Lualabę, czyli jak nazwał rzekę Liwingstone'a; koryto coraz bardziej się rozszerzało, potężne dopływy mianowicie ze

wschodu zasilają jej wody. Lecz tu właśnie pod równikiem, doszedł Stanley do wodospadów, które dziś jego nazwisko noszą; rzeka skierowała się na północ-zachód, a jej szerokość stawała się coraz znaczniejszą, brzegi coraz bardziej płaskie. Na nieszczęście, trudy oraz ciągle walki z krajowcami wyczerpywały siły karawany. Po za dopływem Sankora, Stanley po raz pierwszy usłyszał dla rzeki, którą podróżował, nazwisko Konga. Tak więc to było Kongo! Po za dopływem z południa Ikelemba, rzeka rozlewa się w wspaniałe jezioro, a nabrzmiawszy dopływami północnymi, ma szerokości 10 kilometrów. Wkrótce atoli przyszło się spotkać z najgroźniejszą zawadą, z wodospadami (nazwiska Liwingstone'a) dalszego biegu Konga. Trzeba było łódzie przepychać między skałami, czasami przenosić. Przewodnik Fr. Pochok umarł, a miejscowi ludzie odmawiali posłuszeństwa. Nie było co jeść—krajowcy dostarczali żywności za rum i broń: jednego brakło, broni wydawał Stanley nie chciał. Zdawało się, że karawana ulegnie,—gdy jeden z krajowców objaśnił, że znajdują się w pobliżu faktoryi europejskiej Bome. Stanley napisał list i pospieszono mu z pomocą. Dnia 9 sierpnia stanęła wyprawa w Bome w 276 dni po wyruszeniu z Niangwe, wkrótce zaś znalazł się Stanley w Kabinda przy ujściu Konga do Atlantyku.

Wielkie dzieło zostało spełnionem. Dzieł jest wiadomo już, że góry Muxniga, odpowiadające górom księżycowym starożytnych geografów, stanowią dział wodny między Nilem, Zambezi i Kongiem. Ze wschodniego ich toku wypływa Loangwa, dopływ Zambezi, z północno-zachodniego Chambezi; ta ostatnia przechodzi przez szereg jezior, z których pierwsze nazywa się Bamba (Banguelo Liwingstone'a), dalej pod nazwą Lupaola dochodzi do jeziora Moero i wypływa z niego pod nazwą Lualaba; od Niangwe idzie równolegle do jeziora Tanganyka i omijając północny jego koniec, zakreśla wielki łuk, którego linia idzie naprzód na północ-zachód za równik, następnie zwraca się ku południu-zachodowi ku wybrzeżu Loando.

Rozszerzyliśmy się nad temi okolicznościami, gdyż tylko zrozumiałwszy ważność odkryć, dzięki wytrwałości i poświęceniu

Stanleya, można pojąć doniosłość jego sławy. Stanley wrócił w 1878 roku do Europy, a jego podróż po Francji, Włoszech i Anglii była jednym ciągiem owacyj. Atoli cel jej, pobudzenie mocarstw zachodnich do urządzenia eksploatacyi krain nad Kongiem, nie został osiągnięty. Dopiero król belgijski, który w 1874 roku założył stowarzyszenie międzynarodowe szerzenia oświaty w Afryce, zrozumiał ważność propozycyji Stanleya i postawił go na czele komitetu studyów wyższego Kongo, z celem urządzenia tam szeregu stacyj naukowych, które się zapewne z czasem zamienią w faktorye i bogate miasta. Stanley udał się po raz trzeci do Afryki, zkąd niedawno powrócił do Europy, aby wziąć udział w konferencyi berlińskiej, celem uregulowania spraw rzeki Kongo. Wielki ten podróżnik niespodziewał się zapewne, iż w tak krótkim czasie dojrzeją plony jego pracy. Ale posłuchajmy co on sam mówił w tym względzie, na konferencyi jaką miał dla dyplomatów i uczonych w Berlinie: „Tam w Niangwe nad brzegiem bezimiennej jeszcze rzeki, ginącej w niezmiernej przestrzeni, zawahałem się pełen wątpliwości: mam li ciągnąć dalej moje badania Afryki. Moi współtowarzysze krajowcy, nie chcieli ani słyszeć o podróży w dół tajemniczej rzeki, o której nikt nie wiedział gdzie wlewa swe wody. Tylko obietnica dwóch tysięcy sześciuset talarów, zdołała przytłumić ich obawę. I oto nasza łódź pomknęła po czarnych balwanach rzeki, za każdym poruszeniem wiosła biegliśmy naprzód i naprzód, nie wiedząc co nas tam czeka, sława czy śmierć. Spoglądając na ten burzliwy potok, upadali na duchu moi wioslarze: — jak ciemno, jak straszno! — krzyczeli oni, lecz wtedy dodawałem im odwagi i rozlegały się głosy: naprzód! naprzód, Allah nam pomoże! Smutna atoli nuta dźwięczała w tych głosach, gdyż wszyscy byli przekonani, że idziemy do zguby. Tak dzień po dniu płynęliśmy na północ, dopóki rzeka nie zawróciła na zachód i dopóki nie ujrzelśmy ujścia

Kongo, a zarazem fal atlantyckich. Dorzecze Konga stanowi szóstą część Afryki. Jest to wielki ład dotąd nieznanany ani anglikom, ani francuzom, ani niemcom, ani amerykanom. Sądziłem się znaleźć w zapomnianym przez Boga kątku ziemi, zamieszkanym przez dzikich, a tymczasem ujrzelśmy się w wielkim kraju, klimatem przypominającym południową Francję. Tym sposobem gorąca moja chęć wzbudzić w Europie zajęcie i miłość dla Afryki, została spełnioną. Powróciłem do Europy. W Marsylii spotkali mię wysłańcy króla Belgii z propozycją, czy nie zechcę podjąć wyprawę do Afryki. Ja?! Znow do Afryki! kiedy umieram ze zmęczenia i wycieńczenia, nie, za nic na świecie. Odetchnąłem gdy wyszli, kazałem sobie podać dobrą porcyę befsztyku, wypilem kieliszek szampana, poszedłem do teatru i obudziłem w sobie chęć do życia i poczułem nowe siły. — Zobaczę — odpowiedziałem drugą razą królewskim posłom. Potem przedstawiłem moje projekta w pięćdziesięciu miastach, angielska publika została zachwyconą niemi, lecz kiedy wspomniałem o pieniądzech — nikt mię więcej nie słuchał. Dla tego też przyjąłem w 1879 r. propozycję króla belgijskiego i do tej chwili pracowałem tam ze swymi towarzyszami. Jedenaście tysięcy mil schodziłem w Afryce i znam ją na tyle, że mogę być waszym przewodnikiem. Zapewne w Afryce nie znajdziecie gazet, hoteli, teatrów, ale tam gościnnie zostaną przyjęte wszystkie narodowości. Tam w nieznany jeszcze europejczykom kraju, może się uorganizować międzynarodowy handel. W wolnej Afryce każdy swobodnie pracować może dla swego i ogólnego szczęścia. Klimat tamtejszy, którego się tak lękają, nie jest szkodliwym, należy tylko zachować wstrzeźliwość w użyciu spirytualnych napojów. To, com opowiadał lub com pisał o Kongo, wydać się może bajecznem — lecz niema w tem ani słowa kłamstwa, albowiem bez prawdy, dzieło któremu poświęciłem życie, byłoby martwem”.



## JÓZEF BRANDT.

Józef Brandt, urodził się w Szczebrzeszynie 11 lutego 1841 r., gdzie ojciec jego Alfons, doktor medycyny, urzędował przy szkołach Ordynacji Zamoyskiej. Po matce, Krystynie z Lesłów, odziedziczył, że tak powiemy, talent i pociąg malarski, gdyż pani Brandt, w dziedzinie pejzażu, posiadała starannie rozwiniętą biegłość. Nie należy lekceważyć tej skażówki, gdyż dzieci, biorąc udział, lub przypatrując się zajęciom rodziców, nabierają zamiłowania i częstokroć wyższego uzdolnienia w tym kierunku. Ojciec odumarł naszego malarza dzieckiem, które oddano do Instytutu szlacheckiego w Warszawie, a następnie wyprawiono do Paryża (1858), aby się w szkole centralnej wykształcił na inżyniera. Atoli nad Sekwaną, Józef Brandt poznał się z Juliuszem Kossakiem i to zde-

ydowało o wyborze stanu. Nie możemy się temu dziwić; wszystkim wiadomo, jaką sympatyczną, o rycerskiej powierzchowności postacią, jest Kossak, ile w jego obejściu ciepła, a ołówku i pędzlu akwarelisty — talentu. Brandt jest niewątpliwie większym od swego pierwotnego nauczyciela malarzem, ale z dobrych źródeł nam wiadomo, z jaką czoią o nim wspomina i zeznaje, jak wiele mu winien w swym artystycznym zawodzie. Od Kossaka przejął zamiłowanie do koni, na jego wzorach wykształcił owe udatne odtwarzanie zamaszystości polskiego żołnierza, dawnych, historycznych czasów. Atoli, poddawszy się wpływowi Kossaka, niełatwą było dla Brandta rzeczą zostać artystą. Rodzina wcale sobie nie życzyła tego i tylko wuj, p. Lesel, na własną odpo-

wiedzialność poparł młodzieńca i ułatwił mu malarską karierę, wprowadzając go na „drogę bez cierni”, jak się wyraża jeden z przyjaciół Brandta. Dla ścisłości dodamy, iż w Paryżu, oprócz Kossaka, miał za przewodnika w sztuce znakomitego Cogneta.

W 1862 r. Brandt przeniósł się do Monachium i tu do dzisiaj, przy Schwantaler-Strasse, posiada stałą swą siedzibę, co mu nie przeszkadza każdego roku, przez miesiące letnie, oddychać ojozystem powietrzem w wiosce, jaką posiada w Radomskim. Nie należy się tylko co do jednego mylić, aby przybywszy do Monachium z pewnemi zasobami wiedzy, Brandt uważał się za skończonego mistrza. Wcale tak nie myślał i co najprędzej wstąpił do pracowni znakomitego batalisty, Franciszka Adama, jako uczeń, i nie opuścił jej aż do 1870 roku. Gdyż Brandt słusznie trzyma się starej zasady — życie krótkie, ale sztuka długa i bez przygotowania surowego i mozolnego, ani sposób być samodzielnym artystą. Osiem lat ciężkiej pracy pod okiem mistrza — jakże to różne od obyczajów wielu naszych malarzy, co spędziwszy parę miesięcy w jakiej meisterschuli za granicą, uważają się za skończonych artystów. Ale też i rezultat jest różny! Kiedy ci ostatni świecą tylko własną zarozumiałością, lub koteryjną pochwałą przyjacielskiej prasy, a w rzeczywistości częstokroć składają dowody zmarnowanego talentu na wystawach krajowych — płótna Józefa Brandta są ozdobą najznakomitszych europejskich muzeów sztuk pięknych. — W Dreźnie znajdujemy jego „Powrót z pod Wiednia”, w Frankfurcie „Wesoły kwaternek”, w Berlinie „Bitwa pod Martynowem”, w Sztutgardzie „Utarczka ze szwedami”, w Wrocławiu „Przy studni”, w Wiedniu „Przeprawa pod Koldyngą”, wreszcie szlachta galicyjska, jako dar śluby, arcyksiężniczce Gizeli, ofiarowała obraz Brandta „Odsiecz wiedeńska”. Ta okoliczność, zdaje się, dobrą stanowi wskazówkę, jak wysoko cenionym jest talent Brandta w Niemczech; do muzeów tamtejszych nie dostanie się mierne płótno, a Niemcy, protegujący swoich, niełatwo dopuszczają obcego artystę do publicznych przybytków sztuki i niełatwo zapłacą tysiące marek, na jakie szacują się obrazy Brandta. Zresztą i wszystkie in-

ne jego dzieła — a jest ich już z górą 120 — rozeszły się za granicą, są w rękach prywatnych lubowników sztuki w Europie i Ameryce. Kilka tylko i to małych rozmiarami, znajduje się w kraju... Biedniśmy ogólnie, a ci, co by mogli takie rzeczy, ku swojej i ziomek nabywać chwale, są ciemni i skąpi.

Pierwsze prace wystawione przez Brandta były to wzorem kossakowskim wykonane akwarelle do „Przygód Imci Pana Benedykta Winnickiego.” Ale artysta wnet pojął, iż właściwą jego dziedziną jest płótno i farby olejne. To też na wystawie Zachęty sztuk pięknych w Warszawie, ukazały się płótna przedstawiające ilustrację znanej piosenki: „Hej tam za górą, jadą rycerze,” oraz epizod z Pana Tadeusza „Noona wyprawa na Sopleiów.” Cofając się przed zarzutem epizodyczności, Brandt zabrał się do przedstawienia wielkiej epopei narodowej jaką jest niewątpliwie dla nas wyprawa Wiedeńska. „Odsiecz wiedeńska” i „Powrót z wyprawy wiedeńskiej” są to w wielkim stylu batalijne i historyczne obrazy, w których artysta oparty na bardzo szczegółowych studyach, z realizmem połączył poczucie chwały narodowej. Odtwarzając stronice dziejów dał nam Brandt: Bitwę pod Beresteczkiem, Chodkiewicza pod Chocimem, Pochód Tarnowskiego przeciwko Tatarom, Stefan Czarnecki — i całe mnóstwo prześlicznych epizodów takich jak: Powrót lisowczyków, Powrót tatarów z bitwy pod Tychynem, Na przewozie, Polowanie na upatrzonego, Pochód cyganów, Stannica kozacka nad Dnieprem i to prześliczne, pełne poezji „Powitanie stepu” lub „Jarmark w Bełoiu.”

Naturalnie, wymieniamy obrazy, które nam przychodzą na pamięć, setkę innych pomijamy milczeniem, gdyż albośmy ich nie widzieli, albo jako drobniejsze prace wyszły nam z pamięci. Malarstwo polskie jest jeszcze młode — nie posiada jeszcze ani swej historii, ani leksykonu artystów, ani skatalogowanych ich prac, to też piszącemu biografię tylko własna pamięć może być pomocnicą.

Nie piszemy studyum, ale krótki zarys działalności Brandta, nie będziemy więc rozbiierać jego obrazów z punktu artystycznego, ale wspomnimy, iż jest on założycie-

lem odrębnej szkoły, wprawdzie po za krajem, ale nierozdzielnej z nim treścią, charakterem, motywami tylko polskimi. Biorąc go z ogólnego punktu w sztuce, stworzył on nowy typ obrazu, zasadzający się na umiarkowanym realizmie, w formach i kolorycie ustosunkowanym do warunków sztuki malarskiej. To nadaje obrazom Brandta ową delikatną poetyczność, broniącą jego realizm od popadnięcia w trywialność. Typy Brandtowskie są piękne i szlachetne i umie w żołnierzu oddać jego fantazyę, zamaszystość, werwę i humor. Mistrz w malowaniu koni, ich ruchów, pozycy i ryzykownych skurczów, biegłym jest w oddawaniu natury martwej i oryginalnym w pejzażu. Ten charakter jego dzieł, przyjęła jako typ jego szkoła; obcy, pisząc o malarstwie monachijskiem, doskonale tę szkołę i ten polski obraz charakteryzują, według jego zalet i usterek. Brandt posiada licznych uczniów: Alfred Wierusz Kowalski, Jan Chełmoński, Tadeusz Ajdukiewicz, Łoś, Władysław Szerner, Bohdan Kleczyński, Kędzierski, Roubaud (rossyanin), Robert Assmus (niemiec), Jan Rosen, Artur Pilawa i wielu innych, liczą się do tej gromady. Atoli wpływ mistrza i szkoły okazał się tu płodnym; Brandt nader rozumnie prowadzi swych zwolenników i swą indywidualnością nie skrzywił i nie przytłoczył żadnego talentu, jak to się innym mistrzom zdarza. Pochodzi to stąd, że ceni on sztukę więcej, niż siebie, iż żywi poszanowanie dla cudzej indywidualności i tę stronę odnalazłszy w uczniu, pilnie ją

pielęgnuje. To też Brandt liczy nie adeptów, ale przyjaciół. Lecz jakże też umiał ich sobie zjednywać. Iluż to jemu zawdzięcza swój byt, ileżby to zmarniało w kraju talentów, gdyby je Brandt moralnie i materyalnie nie podparł. O tem wiedzą najlepiej bliżcy, ale o czem wszyscy wiemy, to to, że nikt nad Brandta szlachetniej i godniej nie przedstawia wobec obcych, polskiej sztuki i polskiej narodowości.

Oczywistym dowodem jak wysoko Brandt stoi w opinii zagranicznych znawców malarstwa, oprócz nabycia jego obrazów do galerij zagranicznych jest mianowanie naszego artysty w 1878 roku honorowym profesorem akademii w Monachium i członkiem berlińskiej akademii sztuk pięknych. Panujący starali się uczióć talent i zasługi Brandta wysokimi orderami, jako to: Franciszka Józefa (austriacki) i Ś-go Michała (bawarski), oprócz medali ze wszystkich prawie wystaw.

Cóż dla niego zrobili swoi? Grono artystów z powodu dwudziestopięciolecia upływającego w 1885 roku, od chwili wystawienia pierwszej akwareli przez Brandta w dniu jego imienin złożyło mu zbiorowe album prac własnych, a z tym aktem wszystkie koła inteligencji kochające sztukę i czozące jej kapłanów, gorąco się zsolidaryzowały. Większą nagrodą społeczeństwo nasze nie rozporządza — ale dla artysty uznanie powszechne jest też niezawodnie najpożądniejszą i największą chlubą, złączającą mu długie dni pracy, mozołów i zawodów.

Gabinet  
Fileologiczny  
Im. G. Kerbuła  
T.N.W.

K. 13640



NAKŁADEM REDAKCYI PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO

wychodzi

## GALERYA WSPÓŁCZESNYCH ZNAKOMITOŚCI.

Pierwsze sześć zeszytów zawierają następujące życiorysy:

ZESZYT PIERWSZY:

I. Siemiradzki Henryk i jego dzieła. — II. Nordenskiöld A. E. i jego odkrycie północnej drogi około Azyi. — III. Turgeniew Iwan i jego utwory.

ZESZYT DRUGI:

I. M. F. Müller. — II. J. Lam. — III. A. Dumas (syn) jego dzieła i utwory.

ZESZYT TRZECI:

I. Emil Augier. — II. Józef Supiński. — III. P. Savorgnan de Brazza.

ZESZYT CZWARTY:

I. Juliusz Grévy. — II. Karolina Świetla. — III. D-r. Wiktor Feliks Szokalski.

ZESZYT PIĄTY:

I. M. Sałtykow (Szczedrin). — II. F. W. Rieger. — III. A. Daudet. — IV. J. Dunajewski.

ZESZYT SZÓSTY:

I. E. Renan. — II. R. Dybowski. — III. W. Cherbuliez. — IV. M. Sembrich-Kochanska. — V. J. Kossak.

ZESZYT SIÓDMY I ÓSMY:

I. M. Jokaj. — II. J. Ferry. — III. E. Orzeszkowa. — IV. W. Brozik. — V. W. Hugo. — VI. H. L. F. v. Helmholtz. — VII. H. M. Stanley. — VIII. J. Brandt.

CENA ZESZYTU kop. 30, z PRZESYŁKĄ kop. 35; — CAŁOŚĆ SKŁADAĆ SIĘ BĘDZIE Z DWUNASTU ZESZYTÓW.

## ZBIÓR POWIEŚCI I ROMANSÓW.

Każdy z najwybitniejszych utworów powieściowych, romantycznych i nowelistycznych, ukazujących się w Europie, wychodzi naszym nakładem równocześnie z oryginałem

Wyszły dotąd:

A. Daudeta: EWANGELISTKA tom 2.	J. Rogosza: MOTORY ŻYCIA tom 4.
J. Ebersa: SŁOWO tomów 3.	A. Daudeta: SAFO tom 1.
E. Zeli: MAGAZYN NOWOŚCI tom 4.	Coppée: NOWELE tom 1.
Vergi: MAŻ HELENY tom 1.	Pod prasa: J. Taylora: KLYTIA tomów

Abonenci czasopisma Przegląd Tygodniowy nabywają każdy tom po cenie z przesyłką na prowincję (najmniej 10 tomów) po kop. 50. Cena księgarska tomu kop. 60 z przesyłką kop. 70.

ADRES: Redakcyja Przeglądu Tygodniowego Cz







K. 13640